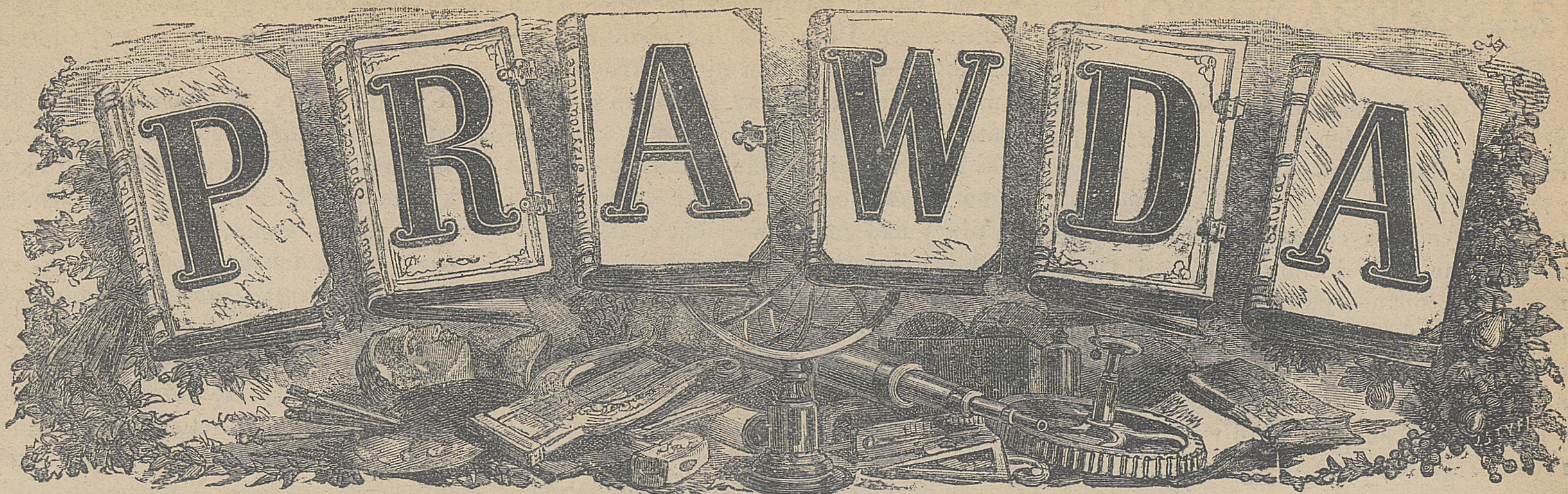
№ 23. Warszawa, dnia 4 Czerwca (23 Maja) 1881 r. **Rok I**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Z powodu zbliżającego się nowego kwartału, upraszamy szan. abonentów prowincyonalnych o wczesne nadsyłanie przedpłaty dla uniknięcia zwłoki lub przerwy w odbiorze pisma. Ci, którzy nie zdążą przesłać pieniędzy a życzą sobie nadal otrzymywać **Prawdę**, zechcą uwiadomić nas o tem listownie.

WYMIANA USŁUG.

W jednym z pierwszych numerów *Prawdy* nakreśliliśmy to „błędne koło," w którem kręci się Galicya, skazana na przymierze z żywiołami feudalno-ultramontańskiemi, które zapewniają jej pomoc, każą sobie płacić usługami w każdym ruchu wstecznym. W kole tem właśnie znaleźli się posłowie polscy podczas ostatnich posiedzeń Rady Państwa, rozpatrującej wniosek Lienbachera, o skróceniu przymusowej edukacyi w szkołach początkowych z lat 8 na 6. Jest to dawna mara, która już odbyła parlamentarną wędrówkę i którą w Izbie Panów zaspokojono wyznaczeniem czterech władz, mających prawo rozstrzygać o możności uwolnienia dziecka ze szkoły po skróconym terminie. Obecnie wniosek ten przywleczono znowu przed Radę Państwa w chwili, gdy polacy mieli do załatwienia ważną sprawę — projekt budowy kolei transwersalnej. Prawica zapewniła im poparcie pod warunkiem, że wprzód oddadzą swe głosy na korzyść wniosku Lienbachera. Rozpoczęły się targi, skutkiem których postanowiono, że: naprzód prawica przeprowadzi projekt kolei a potem polacy dopomogą do skrócenia okresu szkolnego. Gdy jednak przyszło do spełnienia tej ostatniej obietnicy, Hausner poczuł zgryzoty wolnomyślnego sumienia, odmówił swego głosu, a na wypadek nacisku zagroził złożeniem mandatu. Nową tę secesyę uśmierzono, zwolniwszy ze słowa Hausnera, za którym poszedł drugi poseł Raczyński i młodocześi. Ostatecznie Galicya otrzymała kolej za dwa lata urwane oświacie.

Ta wymiana usług, której moralną wartość zaznaczyli dwaj liberalni odstępcy, ujawnia nam naturę owego związku. Działania parlamentarne są tej natury, że stronnictwa dla zapewnienia sobie pomocy innych grup posiłkują je swoją siłą, ile razy to posiłkowanie nie sprzeciwia się ich programowi. Nie bierzemy też za złe posłom polskim ich łączenia się z prawicą, gdy tym sposobem osiągnąć mogą ważne dla kraju korzyści. Ale zachodzi pytanie, czy ofiary nie przewyższają zysków; innemi słowy: czy otrzymanie kolei warte jest skrócenia edukacyi przymusowej? Skoro pobudka do tego kroku wyszła z łona partyi wrogiej rozwojowi umysłowemu, dąży ona niezawodnie do cofnięcia oświaty, która wytwarza nader nieprzyjazne warunki dla utrzymania się i rozrostu żywiołów wstecznych. Wprawdzie rzucono na szalę obrad względy ubóstwa górali, niemogących przez ośm lat posyłać dzieci do szkoły. Przypuściwszy nawet, że nie są to wybiegi, przyznać musimy, że dla kilkudziesięciu gmin niepodobna zmieniać systematu wychowania w całem państwie. Czuli to niezawodnie ci liberalni posłowie czescy i polscy, którzy umyli ręce i nie chcieli na swem sumieniu zapisać uchwały, wymierzonej przeciwko szkole. W sprawozdaniach gazet naszych z tego posiedzenia słyszymy tylko oklaski nad tryumfem wniosku i najgrawania się z porażki niemieckich liberałów. Nie należy się jednak zbyt upajać tem zwycięstwem, którego skutki wykazać mogą klęskę. Zapieniona lewica wyrzuciła przez usta swych mówców dużo błota, ale w jej łajaniach brzmiała cicho nuta prawdy, która w uszach posłów polskich nie zadźwięczała przyjemnie. Mimo całego upiększenia wniosku Lienbachera czułością dla uciemiężonych przez państwo biedaków, wyjrzał z niego jezuicki kapelusz, a zagłosowane prawo było ostatecznie ciosem dla oświaty. Dbający o jej dobro mogli spytać i pytali niezawodnie: dlaczego owe dwa lata oderwane od ośmiu mają być dla ubogiej ludności tak wielką ulgą? Czy one raczej nie są jedynie zdobyczą stronnictwa, pragnącego powoli oskubywać szkołę z jej potężnych wpływów? Dziś odebrano jej dwa lata, później jeszcze dwa, a kiedyś może cały przymus.

Jestto fatalnością dziejów koła polskiego w Wiedniu, że najczęściej widujemy je na stronie, walczącej za kierunek wsteczny. Gdy czesi przed kilku laty wystąpili z wnioskiem zniesienia stępla od dzienników, galicyanie, których ciężar ten może najbardziej przygniata, oparli się jego zrzuceniu. Dziś znowu widzimy ich w szeregach atakujących szkołę. Smutny, przykry widok, odnawiający jeszcze jednym dowodem przylepione w Europie do naszego nazwiska znamię wstecznictwa. Jeśli dowód ten nie pozyskał niebezpiecznej siły, to zawdzięczać należy przedewszystkiem Hausnerowi, który swem śmiałem i uczciwem odstępstwem uratował w części liberalny honor koła polskiego.

J. A.

ZANIEDBANE POLE.

Od bardzo wyraźnie zaznaczonej chwili w historyi ostatnich kilkunastu lat, społeczeństwo nasze zwróciło się całemi siłami, rzec można — gorączkowo do prac realnych, przynoszących niezaprzeczone, bądź materyalne, bądź duchowe korzyści. Dążenie to do opanowywania drobnych szczegółów, to zdobywanie cal po calu drobnych stanowisk branych, nietylko wydało już swe owoce, ale nadto musiało znaleźć i rzeczywiście znalazło swój wyraz w literaturze. Istotnie, szpalty dzienników naszych, wszelkich barw i odcieni, przepełnione są wezwaniami do tak zwanej *pracy organicznej*, do drobnych, groszowych dorobków na polu ekonomicznych i społecznych stosunków. Była nawet chwila takiego do owej *pracy organicznej* zapału, tak wiele na niej budowało sobie nasze społeczeństwo, że nawet wybrańcy muz poczęli ją apoteozować i stawiać jako wzniosły, idealny cel życia.

Hej do młotka, hej do kielni!...

wołano w chwili tego wielkiego uniesienia a echo tej pobudki odbijało się w kolumnach wielu dziennikach. Z drugiej zaś strony, idealniejsze pragnienia i porywy były przyjmowane z taką obawą i niedowierzaniem, że zbiorowe ciało kilku uczonych umyśliło wymierzyć zabójczy cios całej naszej literaturze poetycznej, ba nawet Mickiewiczowi, któremu p. F. K. nie mógł darować w swoim czasie tego, że w piosnce studenckiej umieścił śmiały i młodzieńczy wykrzyknik: mierz siłę na zamiary — nie zamiar wedle sił. A któż dziś zaprzeczy, że właśnie p. F. K., pisząc wspomniany artykuł, zmierzył siłę naszego społeczeństwa wedle swych własnych zamiarów ujrzenia w niem samych tylko zimnych, rozsądnych i rachujących ludzi.

Różnostronna w swym charakterze i gościnna, dla wszystkich prasa nie pominęła w tem nawoływaniu żadnej gałęzi życia społecznego. Począwszy od uwag nad początkową oświatą ludu i jego skromną zamożnością, skończywszy na rozwoju sztuk, teatru i wielkich fabryk,—wszystkie czynniki były w niej kolejno badane i z takąż samą troskliwością używane do rozwoju i do pracy nad gminą wiejską, z jaką do zakładania towarzystw akcyjnych.

Rzecz prosta i naturalna, że wśród tych najrozmaitszych głosów odzywał się także bardzo wyraźnie hejnał, zapowiadający porę zajęcia się nauką. Nie wchodząc tutaj zupełnie w rozbiór pytania, czy prasa jest w stanie popchnąć społeczeństwo do pewnych czynów, czy może natchnąć je ideami, które samodzielnie jeszcze się nie wyrobiły w narodzie, nie dotykając, powtarzam, tego pytania, ośmielę się tu zwrócić uwagę ogółu nie na potrzebę nauki, bo to już chyba dziś byłoby zbytecznem, lecz na motywa i względy, jakimi zwykle prasa dowodzi konieczności zajmowania się naukami, zwłaszcza zaś ścisłemi. Względy te, wypływające zresztą z czystego źródła, są tak czysto utylitarne, że poniekąd raczej szkodę, niż pożytek sprawić nauce przynoszą, bo od niej odstręczają, zamiast zachęcać. Rozumowania prasy naszej, prawie bez wyjątku dadzą się sprowadzić do następnego:

„Uczmy się, aby nie było śród nas profesorów niemców;

„Uczmy się, aby śród nas nie było mechaników i inżynierów niemców;

„Uczmy się, bo nauki ścisłe pomagają do rozwoju przemysłu, bo bez nich nie będzie postępu na polu jakiejkolwiekbądź gałęzi przemysłu.

Te i tym podobne wołania, mniej lub więcej krasomówcze, obijały się niejednokrotnie o uszy każdemu w ciągu lat ostatnich, nigdy jednak, o ile mi się zdaje, nie zabrzmiał głos:

Uczmy się, ażebyśmy coś umieli; uczmy się, by popchnąć wiedzę naprzód, rozszerzyć te widnokręgi, jakie uczeni synowie Zachodu otwierają przed swymi narodami.

To też, jakby w odpowiedzi na głosy prasy, doczekaliśmy się mnóstwa inżenierów i mechaników, a ponieważ nie żądano, więc nie doczekaliśmy się uczonych. Specyalne pisma techniczne wychodzą i rozwijają się, a dobrego podręcznika fizyki lub chemii niema. Stosujemy naukę, lecz o niej samej—zapominamy.

Taki stan rzeczy mógłby ucieszyć i zadowolnić tych tylko, którzyby w rozwoju materyalnego dobrobytu kraju widzieli cel ostateczny jego dążeń — alfę i omegę społecznego szczęścia. Takiego jednak poglądu chyba nie podzieli nawet ten rozumny przemysłowiec, który całe swe życie poświęca interesom materyalnym. Poważny i nieuprzedzony pogląd na stosunki ludzkie każe zawsze uznawać zarówno wpływ wszystkich czynników na rozwój społeczny i nigdy nie pozwala przeceniać jednych objawów kosztem drugich. Bo jak z jednej strony zbyteczne rozbudzenie poetycznych uczuć w narodzie może go uczynić nieoztropnym, skłonnym do popełnienia błędów praktycznych; — tak znowu rozbudzenie w nim nadmierne dążeń do bogactw i powiększania, godziwie lub niegodziwie, dobrobytu może go zbytnio zmateryalizować i pozbawić tej podstawy moralnej, której utrata pociąga za sobą rozwój pierwiastków, nazwanych przez Du-Bois-Reymonda, wewnętrznem barbarzyństwem, który uważa je za klęskę cywilizacyi a przypisuje postępom praktycznego materyalizmu.

Suum-cuique. Życie narodu jest objawem złożonym. Jak każda część rośliny jest jej potrzebną do utrzymania życia i gatunku, tak też każdy objaw bytu narodowego wymaga równie pilnego pielęgnowania, równie starannych usiłowań nad jego utrzymaniem. Kwiat jest równie wa-

---

OPIEKUNOWIE [2)]

przez

Szczedryna.

Zawsze czułem słabość do rosyjskiej biurokracyi i właśnie za to, że zawsze przedstawiała w moich oczach jakąś nierozwiązalną zagadkę psychologiczną. Pomimo wszelkich usiłowań, aby wypracować z niej biurokracyę, ona za nic nie chciała się nią zrobić. Jeszcze w oczach władzy — jako tako, niechże tylko władza za drzwiami — już wysunie język i śmieje się sama z siebie. Wyobrazić sobie biurokratę rosyjskiego, któryby sam patrzał na siebie, jako na biurokratę, bez pewnego szyderstwa, nie tylko trudno, ale nawet prawie niepodobna. A jednak, biurokratują tysiące, setki tysięcy, prawie miliony ludzi. Milion chodzących zagadek psychologicznych! Milion ludzi, którzy sami na siebie nie mogą spoglądać bez uśmiechu — czyż to nie ciekawe?

Sądzę, że nasze dawne łapownictwo (z zadowolnieniem używam wyrazu „dawne“ i mogę nawet zapewnić, że czterdziestek dziś naprawdę nikt nie bierze) bardzo znacznie przyczyniło się pod tym względem. Łapownictwo podniecało do zapewnień przyjaźni i do prostoty stosunków; niszczyło przegrody i skracało odległości, przerywało biurokratyczny indyferentyzm i czyniło serce urzędnika dostępnem dla niesnask obywatelskich. Zachodzi pytanie, czy możliwem było wyrobić biurokratę z Dierżymordy, gdy za czterdziestówkę gotów był w jednej chwili z poskramiacza i mentora stać się przyjacielem domu? Przypuśćmy naprzykład taki wypadek: Dierżymorda ma rozkaz zamienić wasze „być“ na „nie być.“ Że zna on doskonale, jaką mechanikę należy podprowadzić, ażebyście w jednej chwili przestali istnieć — o tem, naturalnie, wątpić nie należy; na szczęście jednak, wie on jeszcze lepiej, że ze zniszczenia czyjegokolwiek bytu nie tylko on, ale nikt nie powinien mieć najmniejszej korzyści. I oto zaczyna manewrować. Przedewszystkiem, stara się uderzyć waszą wyobraźnię i w tym celu zjawia się z całym arsenałem hamulcowych narzędzi. Potem, obleka się w jowiszową powagę, wstrząsa ramionami, gestykuluje i basem mówi wszelakie sprośności. Słowem, przystępuje do rzeczy czynnie i rozważnie. Ale nie lękajcie się tych podejść wojennych, nie przekonywujcie, nie tłomaczcie się, lecz poprostu wyjmujcie czterdziestkę. Zaledwie monetka błysnęła mu przed oczyma — cała jego naciągnięta, nienaturalna powaga znika w moment. Narzędzi hamulcowych — jak gdyby nigdy nie było; sprawa niebytu niknie w jednej kieszeni, a czterdziestka w drugiej; w pokoju nastaje światło i radość; na stole zjawia się wódka i zakąska...

I oto przed wami, Dierżymorda — przyjaciel domu, Dierżymorda — mąż do rady. Czterdziestka wyjaśniła jego myśli i obudziła w nim te lepsze instynkty, które skłaniają człowieka do zrozumienia, że byt jest lepszy od niebytu, a przepędzenie czasu przy zakąsce jest lepszem, aniżeli przepędzenie czasu na pisaniu bezpłodnych protokółów, na które jeszcze, Bóg wie, jakiemi oczyma spojrzy Skwoźnik— Dmuchanowski (wszak za pół rubla i on o każdej porze gotów jest stać się przyjacielem domu). Zważywszy to wszystko, wypija kieliszek za kieliszkiem i nie tylko puszcza w niepamięć kwestyę niebytu, ale jeszcze uczy was rozumu, jak macie przedłużyć ten byt, utrwalić go i wogóle doprowadzić do kwitnącego stanu. Za pół godziny już go nie ma; wypił wszystko i zjadł, co tylko było na oczach, i poszedł po drugą czterdziestkę, którą już oddawna dostrzegł w kieszeni waszego sąsiada.

Skwitowaliście się, a chociaż w waszym worku ubyła jedna czterdziestka, nie przeklinajcie jednak, gdyż, dzięki tej monecie, został przy was najcenniejszy dar Stwórcy: wasze „być.“

Jak chcecie, ale to—swego rodzaju *habeas corpus*.

Jak dalece rzecz ta jest prawdziwą, dowodem to, że gdy Dierżymorda umarł i następcy jego zaczęli traktować dwudziesto-kopiejkówki z lekceważeniem, dla wielu ludzi życie stało się cięższem. Zupełnie, jakby śród skwarnego lata bez deszczu,

żnym organem w życiu rośliny, jak owoc, nasienie, liść lub łodyga; podobnie w życiu narodu dobrobyt materyalny nie jest ani na włos ważniejszym od poczucia cnót obywatelskich, moralności, sprawiedliwości, sztuk i nauk. To też zwykle prawidłowy rozwój społeczeństwa jest rozwojem każdego z tych czynników, nienaruszającym ich harmonijnego stosunku. Sądzę, że tego rodzaju uwagi musiały się nasunąć każdemu, kto uważnie bada drogi, jakiemi kroczy nasz ogół w ostatnich czasach, i jakiemi wiedzie go prasa. Pominąwszy bowiem nigdy niezapuszczane pola artystyczne, wszystkie swe siły poświęca ona bieżącym sprawom praktycznym. Nauka dla niej zdaje się wcale nie istnieć. Cóż więc dziwnego, że jej w społeczeństwie nie ma? Co tu jest przyczyną, a co skutkiem — nie chcemy rozbierać; notujemy tylko ten smutny fakt, że żadna praca naukowa, niemająca bliskich praktycznych celów i nieskrząca się błyskotliwymi efektami (spektrofon, telefon, fonograf), nie znajduje w naszem dziennikarstwie ani uwzględnienia, ani poparcia. Dowodzi to, zdaniem mojem, dwóch, wcale niepocieszających twierdzeń:

1) że zastęp ludzi, którzyby się interesowali postępami nauki, jest niewielki — więc nie ma dla kogo pisać;

2) Że dziennikarstwo czyniąc z nauki służebnicę przemysłu lub bawicielkę czczej ciekawości, zajęło wobec niej zupełnie fałszywe stanowisko.

Jeżeli słuszność pierwszego z tych twierdzeń mogłaby być wątpliwą, to drugie wydaje się piszącemu niezbitą prawdą, dającą się odnieść nietylko do prasy, ale i do wykształconego ogółu.

Niechby ktoś wynalazł i uzyskał patent na maszynkę do robienia uszek w igłach, zaraz tysiączne wiwaty rozległyby się w kolumnach dzienników dla szczęśliwego wybrańca bogiń sprytu i wynalazczości. Ale niechby ktoś — jak np. p. Dybowski, lub Czekanowski — poczynił niemałe nawet podboje w nauce, musiałby pozostawać w cieniu, zanim jego zasługi dostałyby się do wiadomości naszego społeczeństwa i to, rozumie się, przez Paryż, Londyn, Berlin lub Petersburg. Jeszcze z p. Czekanowskim łatwiej — to geolog, mógł znaleźć węgiel, rudę żelazną, sól, ba nawet złoto; ale co tu pisać o p. Dybowskim i jakiej strony przedstawiać jego działalność, kiedy on zbiera głównie nieznane i nikogo nieobchodzące raczki, a o przysparzaniu groszy myśleć nawet nie chce.

Gdzie nauka na silnych stoi podstawach, gdzie uniwersytety liczą się na dziesiątki, a pisma specyalne i towarzystwa naukowe na setki, gdzie są księgarnie, których wyłącznem zajęciem jest wydawanie dziel naukowych (Vieweg und Sohn, Braunschweig), tam udział dziennikarstwa w sprawach nauki może być mniejszym niż u nas, gdzie wiedza nie wyrobiła sobie jeszcze szerokich łożysk, któremi by spokojnie płynąć mogła ku swym celom teoretycznym. U nas, a zwłaszcza w Warszawie, nawoływanie do jaknajliczniejszego składania ofiar na ołtarzu wiedzy jest, zdaje mi się, obowiązkiem każdego organu, któremu rozwój społeczeństwa jest drogim, stanowi, naszem zdaniem, sprawę równie palącą i pilną, jak np. kwestya żydowska lub dobrobyt robotników fabrycznych.

Tak przywykliśmy oddawna do słuchania rozmaitych peror, głoszonych ustawicznie na nutę materyalnych korzyści, iż usprawiedliwioną jest obawa piszącego, by ostatnie zdanie o nagłości zajęcia się sprawami naukowemi nie były poczytane za zwykłą formę retoryczną. Na szczęście przemawiają za nami tak poważne świadectwa, że one z pewnością przekonają ludzi dobrej wiary, a praktycznym materyalistom spędzą choć na chwilę z ust szyderstwo.

Mamy tu na myśli niezmordowanych w pracy nad nauką, znanych całemu oświeconemu światu, takich badaczów jak: Pasteur, Claude-Bernard i Wurtz. Uczeni ci, którzy wzbogacili wiedzę niesłychanie cennemi zdobyczami — przejęci są głębokim patryotyzmem i przywiązaniem do swej ziemi; to też katastrofa sedańska i z ich piersi wyrwała bolesny okrzyk.

Już w r. 1871 Pasteur wypowiedział te pełne prawdy słowa: ...„Jeżeli w chwilach największego niebezpieczeństwa Francya nie znalazła ludzi genialnych, zdolnych do zużycia sił i odwagi jej synów, to jedynie dlatego, mam to silne przekonanie, że od pół wieku przestano się we Francyi zajmować wielkiemi pracami myśli, zwłaszcza w dziedzinie nauk ścisłych.“

„Ojczyzno moja! — mówi w innem miejscu tenże badacz — któraś tak długo dzierżyła w swem ręku berło myśli badawczej — czemuż odwracasz się teraz od swych najszlachetniejszych dzieł! Są one boską pochodnią, oświecającą ludzkość, żywem źródłem wszystkich wielkich uczuć, i przeciwwagą w dążeniu do uciech materyalnych“ [1]).

Tych, którzyby pragnęli poznać gruntownie poglądy Claude-Bernarda, Pasteura i Wurtza na znaczenie nauk ścisłych— odsyłamy do pięknej pracy dra Z. Wróblewskiego — umieszczonej w 5, 6 i 7 zeszycie *Kosmosu* z 1880 r. i noszącej tytuł: „Fizyka we współczesnej Francyi.“ Z pracy tej przekonają się, jak na naukę ścisłą zapatrują się wspomniani mężowie. Nie uważają jej za służkę tych lub owych gałęzi przemysłu i dobrobytu, lecz czczą jako mistrzynię prawdy i strażnicę narodowej moralności. Już i Schiller trafnie wyrzekł:

Nauka dla jednego jest boginią, czci on ją zdaleka,
A krową dla drugiego — co żyje z jej mleka.

Że dla nas nie jest ona boginią, o tem wie chyba każdy, kto nieuprzedzonem okiem na kraj patrzy. Każdy zasłania się

[1]) *Kosmos.* V. str. 249—1880.

---

gdy i tak już człowiek nie wie, dokąd uciec przed spieką i zaduchem, poczujesz w powietrzu obecność strasznej morowej zarazy.

— Ciężko, mój braciszku, człowiekowi! niczem nie odpędzisz tej plagi! — skarżyli się wówczas jeden przed drugim obywatele a nie mogąc dać sobie rady, schodzili kolejno z tego świata.

Na szczęście ów ciężki okres nie trwał długo. Dzięki Dierżymordzie i długiej jego praktyce nietylko utrwaliło się przekonanie, że sprawa niebytu nie ma w sobie nic poważnego, ale nadto obywatele oprzytomnieli.

Nie pomogła wówczas uporczywość, ani szorstkość, ani tłomaczenia, ani też żadne środki zaradcze: ofiarami ich stali się tylko pierwsi, znienacka zaskoczeni obywatele. Potem, wszystko napowrót weszło w swój tryb właściwy. Naprożno nieposzlakowane młode pokolenie, co nastąpiło po Dierżymordach, starało się przekonać i udowodnić, że biurokracya nie jest pustym frazesem; nikt mu nie wierzył. Każdy miał na pamięci jeszcze zatłuszczony szlafrok Dierżymordy; w uszach każdego brzmiał jeszcze hałaśliwy jego śmiech... więc co tu tłomaczyć! dowodzić! I otóż młodzież biurokratyczna zżyma się, marszczy brwi, wypina piersi, robi jowiszowe miny, a ludzie ciągle jej mówią:

— Nie tak ostro, dobrodzieju! — nie bardzo się boimy!

Myśmy u samego Antoniego Antonowicza (Skwoźnik-Dmuchanowskij) byli w opałach — a nic nam nie zrobił!

Mów oto jegomość odrazu: ile ci się należy?

— Ja nie potrzebuję niczego, tylko abyście przestali istnieć! — odpowiadała niedowiarkom młoda biurokracya.

— Ale! zastanów się nad tem, coś powiedział! Na Boga, patrz! Rozważcie sami, gdzie jest olimpijczyk, któryby nie uległ tej niewinnej naiwności? „Na Boga! patrz!...“ Łatwo to powiedzieć! a jednakże, kiedy spojrzysz, dyabli cię wezmą! I jak się tu nie rozczulić podobnem napomnieniem? jak nie wykrzynąć: „dopomóż wam Boże! żyjcie! mnóżcie się! i zaludniajcie ziemię!?

Tak też postąpili sobie młodzi następcy Dierżymordy. Przez pewien czas jeszcze opierali się, ale, słysząc dokoła niezmienne: „patrz, na Boga,“ zrozumieli, że nie pozostaje im nic innego, jaktylko ustąpić. Zresztą cofnęli się w porządku.

Ustąpili wcale nie dla czterdziestki, lecz dumni przekonaniem, że niezależnie od niej, znaleźli w sobie siłę do przebaczenia obywatelom. Ażeby lepiej zamaskować jeszcze porażkę poniesioną, w przedsięwziętej kampanii, sami postanowili ułożyć z niej humorystyczną epopeję.

Odtąd, cechą charakterystyczną rosyjskiej biurokracyi stało się ironiczne traktowanie samej siebie.

Dawni Dierżymordowie *szlafrokowali*; dzisiejsi, bawią i *amicochon'ują*.

Krótko mówiąc, prawdziwych „zacofanych“ biurokratów, którzy nie przebaczają jest bardzo niewielu... a i ci nawet są skazani na osamotnienie. Niewielu nawet takich, co ustępują bez urągań. Największa zaś część ich przebacza przy śpiewie i tańcach; dzwoniąc we wszystkie dzwony:

„Patrzcie no, patrzcie, jaką urządzamy maskaradę!“

Znam wielu moralistów, którym objaw podobny wydaje się wstrętnym. Ja zaś, choć nic nie mam przeciwko tej opinii, muszę jednak dodać ze swej strony: jakoś żyjemy!

W jednym tylko wypadku biurokrata rosyjski jest zawsze i dotąd jeszcze prawdziwym biurokratą, mianowicie na stacyi pocztowej, ilekroć pocztmajster nie daje mu prędko koni, i nie pozwala dalej ciągnąć administracyjnego biegu.

Wówczas ten wypręża się w całej wysokości, nakłada na głowę czapkę z gwiazdką (choćby to było w pokoju), zgrzyta zębami, podsuwa pocztmajstrowi pod sam nos *podorożną* — i krzyczy:

— Ale czy wiesz ty kurzy synu, z kim masz do czynienia? czy ty to widzisz? wsadźże ryj w *podorożną*! patrz! czytaj!

Należy się spodziewać, że przy pomocy Boga, z rozwojem kolei żelaznych i na stacyach pocztowych liczba podobnych objawów biurokratyzmu, w znacznym także stopniu się zmniejszy.

A propos!... Mówiąc o bezskuteczności usiłowań w celu osiodłania rosyjskiej biurokracyi, nie mogę się powstrzymać od po-

wzniosłemi słowami Staszyca, wzywającemi do naukowego badania kraju pod względem przyrodniczym dla wyciągania zeń materyalnych korzyści, a wszyscy zapominają o całem jego życiu, poświęconem więcej nauce czystej, niż stosowanej, o jego darach i zapisach, z jednej strony opatrujących pierwsze potrzeby biedaków, z drugiej uposażających hojnie naukę.

Sprawa ta wydaje nam się tak poważną, że powrócimy do niej jeszcze; tu tylko staraliśmy się rozjaśnić ją w zasadzie, powrócić drogowskazowi naszego życia to jego odłamane ramię, które prowadzi do poznania prawdy, niezaleconej przez materyalne korzyści—do źródła czystej wiedzy.

J. B.

SŁOWA PRAWDY.

II.

(U nas inaczej...).

Co to jest egzamin?

Jest to badanie, czego uczeń lub student nie umie i usiłowanie niepuszczenia go wyżej.

Co to jest doktoryzacya?

Jest to wykazywanie doktorantowi, że nie zna tego, czego w swej rozprawie nie przytoczył.

Gdybym dwie te definicye, uszczknięte na niwie naszych praw i zwyczajów, przesłał kierownikom szkolnictwa zagranicznego, nie uwierzyliby zapewnie, że są to płody cywilizowanego gruntu. Pozostają one bowiem akurat w stosunku odwrotnym do zasad przyjętych gdzieindziej. W Niemczech egzaminem nazywa się próba, przekonywająca, co uczeń lub student umie. Gdyby u nas profesor dowiedział się, że kandydat do promocyi lub stopnia naukowego z całej historyi powszechnej nie zna tylko dziejów Hormisdasa, niezawodnie zapytałby go o nie. Piszący te słowa zapamiętał z życia swego takie dwa wypadki. Przed dziesięciu laty wykładał w tutejszym uniwersytecie historyę Rosyi usunięty obecnie profesor. Spotkawszy nas kilku w wigilię egzaminu, zagadnął: „Jesteście panowie przygotowani"? — Zupełnie — odrzekłem — nie zdążyłem tylko przeczytać lekcyi pańskiej o snach kijowskich zakonników. Na drugi dzień wyciągnąłem pytanie o Kronice Wołyńskiej, profesor jednak zażądał dodatkowo, ażebym mu opowiedział, co się śniło kijowskim zakonnikom. Pamiętałem tylko jeden sen: obraz djabła jadącego na wieprzu. To może uratowało mój dyplom. W kilka lat później złożyłem rozprawę doktorską w jedynm z uniwersytetów niemieckich. Do egzaminu wyznaczony został słynny uczony. Gdy przedstawiłem mu się w domu, zapytał mnie: — Czego pan jeszcze nie zbadałeś? (Przypomniał mi się djabeł na wieprzu) — Ponieważ—odrzekłem—jest to moja specyalność, więc starałem się poznać ją całkowicie. Ależ panie — odparł z uśmiechem— wszyscy w naszych specyalnościach wiemy mało i wszyscy pewne rzeczy znamy lepiej a inne gorzej. Ażebyśmy więc mogli znaleźć się w równych warunkach, uprzedź mnie pan, coś najlepiej zbadał; jeden z nas musi się do drugiego zastosować, a jużci słuszniej, żebym to uczynił ja, niż pan. Bo pan deklarujesz nam swą wiedzę, a do nas należy tylko osądzić, czy ona jest wystarczającą do pozyskania stopnia i czy ją pan posiadasz.

Wydało mi się to tak rozumnem, że wyspowiadałem się profesorowi bardzo szczegółowo. Nazajutrz, jak sądzicie, o co mnie pytał? O to, co mu wskazałem jako najsilniejsze punkta mojej wiedzy. Był to egzamin straszny, szczegółowy, posunięty aż do przesady w drobiazgach, najsurowszy ze wszystkich, jakie złożyłem w instytucyach krajowych, ale zamknięty na tem polu, które uprawiłem. Tak robi naród oświecony i jego mistrze. Sami wyczerpując niezgłębioną kopalnię nauki, pojmują, że jej w najciaśniejszym kierunku do dna wyczerpać nie można. Najlżejszą ze sztuk jest sztuka obcinania na egzaminach. Dokonałby jej nawet pierwszoklasista na Rankem, gdyby przygotowawszy się, kazał mu wyliczyć wszystkie daty z życia Hormisdasa.

Nie zdziwiła też nas wcale daremna, objawiona ubiegłej niedzieli chęć zaprotestowania przeciwko przyznaniu stopnia doktora medycyny Teodorowi Duninowi. Zanim fakt ten ocenimy, winniśmy przedewszystkiem rzucić światło na istotę tego rodzaju ceremonii. Najpoważniejsze uniwersytety nie znają publicznej szopki, w której udana śmierć grozi ciągle kosą doktoryzującemu się Herodowi, ale mu głowy nie ścina. Tam rozprawa doktorska jest naprzód oddana do uznania specyalnych referentów, ci piszą o niej sprawozdanie, komunikowane całemu wydziałowi, który na nią głosuje. Jeżeli więc przedstawiona praca ulega poważnym zarzutom, zabijają one ją po cichu. Podobnie dzieje się u nas, z tą wszakże różnicą, że profesorowi wolno na sesyi wydziałowej dopuścić kandydata do doktoryzacyi a na publicznem posiedzeniu prawa do stopnia mu zaprzeczyć. Otóż z tego faktu wywiązuje się pytanie, co tu jest komedyą: czy uznanie dysertacyi w łonie wydziału, czy nieuznanie jej na publicznej ceremonii? Albo uniwersytet nie rozstrzyga o jej wartości, albo rozstrzyga. W pierwszym razie każdy winien posiadać prawo ubiegania się o stopień naukowy bez upoważnienia uniwersyteckiego a wyrokować musiałaby publiczność; w drugim — samo dopuszczenie kandydata do publicznej ceremonii winno go zasłaniać przeciwko szykanom z tej strony, która mu ten zaszczyt przyznała. Nie pojmujemy zaś jakim sposobem można jednocześnie godzić się na coś w sali wydziałowej a nie godzić się w auli. Przecież doktorant po otrzymaniu pozwolenia na

---

święcenia choćby kilku słów innemu jeszcze, niezbyt również dla mego serca drogiemu objawowi, który także odgrywa wcale nie małą rolę w ekonomii życia narodowego, a zaszczepia się z równą trudnością. Mam tu na myśli — podsłuchiwania.

Podsłuchiwacz francuz... to prawdziwy mistrz swojego kunsztu! To istny szpieg-brzytwa! Najpierw, przekonany jest zawsze o pożyteczności swojego zajęcia; powtóre—wie, o co mu idzie, i—po trzecie: nigdzie się sam nie wkręca. Trzy te cnoty robią zeń mistrza. Podsłuchuje rozumnie i w treści tego, co słyszy, umie szybko rozpoznać rzeczy główne od pobocznych. Oszczędza mu to masę czasu. Nie zwraca wcale uwagi na drobnostki, nie oskarży np. kogoś za to, że ten początek człowieka wyprowadza od małpy, lub innego, że po pijanemu raz wykrzyknął: „dobrze byłoby Wierchojańsk zrobić wolnem miastem i zaprowadzić w niem marki pocztowe!" Nie troszczy się ani o autonomię Wierchojańska, ani o pochodzenie człowieka. Podsłuchuje to tylko, co w danej chwili i w danych okolicznościach przedstawia w sobie interes dla podsłuchiwania. Wysłucha, zrobi potrzebne przygotowacza i — wtedy dopiero pójdzie z oskarżeniem. Przytem wszystkiem sam siebie oszczędza. Dla zachęcenia np. kogoś do złodziejstwa, nie będzie kradł wspólnie ze złodziejem, ani też spiskował wspólnie ze spiskującym. Słowem, nie zrobi nigdy nic takiego, coby kazało wątpić: czy jest on w istocie szpiegiem tylko, czy też rzeczywistym złodziejem, lub spiskowcem? Upatrzy sobie i obsaczy ofiarę swoją zdaleka, nie tykając jej prawie i trzymając się ciągle z boku w charakterze szlachetnego świadka.

Tak więc prawdziwym, poważnym podsłuchiwaczem jest francuz. Ma on spryt, roztropność, wytrwałość; oprócz tego jest szczupłym — nie poci się, i posiada t. z. *jarrets d' acier*. Niemiec, ze względu na wytrwałość jest także dobrym; ale, ten już ma tchórza, i przeto gorliwość zmienia się w nim bardzo często w obawę otrzymania razów. Żyd byłby doskonałym podsłuchiwaczem, ale zanadto jest prędkim. O holendrach, duńczykach, szwedach i o innych nic nie umiem powiedzieć. Jedno wiem, że podsłuchiwacz rosyanin, nic nie wart.

Przedewszystkiem jest to niezdara, ów człowiek, o którym się mówi, że... w wodzie suszy onuce. Nigdy sam nie wie, o co mu właściwie idzie, i dlatego podsłuchuje patrząc, a po wysłuchaniu składa wszystko na jedną kupę; podrugie: jest nieokrzesanym, wskutek czego przeraża się drobnostkami i lęka się najzwyczajniejszej rzeczy. Przepytlowawszy je w karnie swej rozbujałej wyobraźni, rozmazuje je potem z dziwnem upodobaniem, i przez to z łatwością wprowadza w błąd innych. Kłamie szczerze, bez żadnej korzyści dla siebie i przytem — prawie zawsze ze łzami w oczach, co właśnie stanowi główne niebezpieczeństwo jego łgarstw, niebezpieczeństwo, na które niestety bardzo niewielu zwraca uwagę, wskutek czego jest ono źródłem mnóstwa pomyłek.

Wreszcie szpieg rosyjski jest z natury zawsze albo nałogowy, albo próżny. Będąc nałogowym — zaczyna zwykle od wypitki, a następnie, stopniowo, zaprzyjaźniając się z przedmiotem swych obserwacyj, przyjmuje nieznacznie jego zwyczaje i obyczaje. Śledząc złodzieja — ukradnie sam; szpiegując spiskowca — napisze sam proklamację... Sam też za to potem — ku własnemu zdziwieniu, dostaje się do ciężkich robót. Będąc próżnym lubi, aby go miano za człowieka szlachetnego, nazywano „masonem," wyróżniano i okazywano zaufanie. Ubóstwia łzy, i szaleje na widok skruchy!

Wypłacz błąd swój na jego piersi, powiedz mu przytem, że jest „masonem" — przebaczy ci wszystko. Uprzedzi cię nawet w razie potrzeby... omawiając naturalnie z dodatkiem: „tylko niech to będzie między nami!" Zresztą, natychmiast powie, temu i owemu: „to ja! ja go ostrzegłem! trzebaż ocalić szlachetnego młodzieńca!"

Ale... spróbuj tylko powiedzieć mu, że nie jest „masonem!"...

I tak przechodzą lata, dziesiątki lat, a rzeczywiście, prawdziwi podsłuchiwacze nie rodzą się, jak się nie rodzą prawdziwi biurokraci. Nie przesądzam, czy to źle lub dobrze, czyśmy dojrzali lub niedojrzali, ale znam wielu, którzy i w tem pragną widzieć swego rodzaju *habeas corpus*.

Takiego rodzaju myśli pomimowoli przed-

publiczną obronę rozprawy nic do niej nowego nie wprowadza; cóż znaczą więc zarzuty odzywające się dopiero wtedy, gdy mają wielu słuchaczów? Dla czego ich oponent nie podnosi wówczas, kiedy powołany jest do głosu w naradzie uniwersyteckiej? Czy jest to chęć popisu? Naszem zdaniem, doktoryzacya publiczna wtedy tylko być może aktem poważnym, jeśli opozycya z urzędu nie zaprzeczając doktorantowi żadnego stopnia w zasadzie, stoczy z nim spór naukowy, oparty na różnicy poglądów, nie zaś na szykanowaniu i wytykaniu drobiazgów.

Wracając do doktoryzacyi p. Dunina nie możemy jej przyznać takiego poważnego charakteru. Przedewszystkiem jeden z oponentów, który nie miał moralnego prawa opierać się przyznaniu godności naukowej, bo na nią przedtem się zgodził, usiłował skompromitować doktoranta naprzekór zdaniu wszystkich niemal profesorów. Usiłowanie to tak dalece nie miało żadnego naukowego gruntu, że powiodło do sceny, która może jest jedyną w rocznikach naszego uniwersytetu. Najgłówniejszy zarzut był po prostu rozśmieszającym. Oponent wytoczył proces doktorantowi, że ten nie uwzględnił w swej rozprawie literatury rosyjskiej. Zapewnie nauka winna być wolną od uprzedzeń, dziwilibyśmy się też bardzo chemikowi, któryby pominął Mendelejewa lub prawnikowi, któryby nie znał Tagancewa. Ale co zrobić, jeśli w jakimś bardzo specyalnym przedmiocie pewna literatura nie ma żadnego znakomitego badacza? Czy p. Dunin obowiązany był stworzyć Virchowa w Rosyi albo uznać go w jakimś dziesięciorzędnym lekarzu? Nauka do takiej grzeczności nikogo nie zmusza. Nie dość tego; oponent nietylko żądał od p. Dunina znajomości rosyjskiej literatury, ale nawet tworzenia nowych dla medycznego słownictwa wyrazów i służąc przykładem przedstawił kilka próbek własnego wyrobu. Wymaganie co najmniej pocieszne. tem pocieszniejsze, że sam twórca, jako czech, mówi okropnie po rosyjsku i do prawodawstwa w tem języku nie może rościć sobie żadnej pretensyi.

Nie dotykamy tu innych szczegółów tej niezwykłej doktoryzacyi, w której spierano się o odsyłacze i omylki drukarskie; nadmienimy tylko dla zupełnego scharakteryzowania jej, że podczas gdy bardzo mizerne rozprawy przepływają gładko i zyskują bez trudu dekoracye, sumienna, gruntowna praca p. Dunina wywołała burzę.

A może to właśnie dowód jej wartości?

Musiała jednak scena z p. Duninem pozostawić pewien niesmak, bo następna doktoryzacya p. Elzenberga przeszła spokojnie. Obu kandydatom przyznano żądane tytuły. Już więc p. Dunin wspominając o *doktorze* Elzenbergu nie będzie potrzebował go „reklamować“ — która to sprawa także należała do przedmiotów publicznej dysputy.

M. S.

Z DZIEJÓW MĘCZEŃSTWA.

Gdy Loysel błagał trybunał rewolucyjny o zwłokę w procesie Lavoisiera, odpowiedziano mu:

„Rzeczpospolita nie potrzebuje chemików.“

Słowa te możnaby wyryć nad bramą Olimpu wielkich duchów, które wdzięczna ludzkość... zamordowała.

Tak, nietylko okrwawiona rzeczpospolita francuska, ale świat cały nie potrzebuje, nietylko chemików, ale tych wszystkich geniuszów, którzy są naprzód jego hańbą, a później dumą. Niewielu mesyaszów uniknęło krzyża; droga na Golgotę jest zwykłą koleją ich życia. „Galileusz był prześladowanym, Palissy uwięzionym, Ramus zamordowanym, St. Dolet zginął w płomieniach stosu... Takim bywa, niestety, po większej części los tych ludzi genialnych, którzy od chwili gdy Sokrates wypił cykutę, porywali się do spełnienia zadań przedwczesnych i popełnili, według dowcipnego wyrażenia Kazimierza Delavigne'a, to kapitalne głupstwo, że mieli przedwcześnie.... rozum.“

Biada tym, którzy mają ów rozum wtedy, kiedy go inni jeszcze nie posiadają; biada widzącym szerzej, czującym głębiej, znającym więcej, niż tłum, który ich otacza. Rzuci on się na nich jak stado szakalów a gdy rozszarpie ich ciało, uczuje smak ich duszy. Nieśmiertelny Lavoisier, ojciec dzisiejszej chemii, człowiek, który więcej może rozwiązał naukowych zagadnień niż jego prześladowcy popełnili głupstw, zginął oskarżony, że „do tytoniu mięszał ciała szkodliwe zdrowiu współobywateli.“ Nazajutrz po straceniu go, słynny matematyk Lagrange, dowiedziawszy się o tem, zawołał przejęty zgrozą: „Jedna chwila starczyła do ścięcia tej głowy, a sto lat nie starczy do wydania podobnej.“

Wszyscy znamy krwawe dzieje olbrzymów, Samsonów myśli, którzy wstrząsnąwszy gmachem przesądów, padli przywaleni jego gruzami; ale nie znamy tych dobroczyńców ludzkości, których imiona zamilkły we wrzawie późniejszych o ich zasługę targów. Nieraz korzystając z nieśmiertelnych owoców ich pracy, nie troszczymy się nawet o pytanie, komu je zawdzięczamy. Czy też pomyślałeś kiedykolwiek czytelniku, przebiegujący może te słowa przy świetle gazowem, kto ci je wynalazł. Filip Lebon zapalił pierwszą lampę gazową. Pewnego dnia — jak opowiada jego życiorys — rzucił garść trocin do fiolki umieszczonej nad ogniem; wkrótce wywiązał się z niej dym obfity, który nagle zapalił się jasnym płomieniem. „Od tej chwili przemysł objął w posiadanie jedną z najważniejszych zdobyczy.“ W nagrodę za to starano się zasługę wynalazku przy-

---

stawiły mi się, w chwili, gdy mi się rekomendował Kołotów.

— A wie pan — rzekłem—dawniej, doprawdy, było lepiej. Nikt nie myślał o żadnych „usposobieniach,“ isprawnicy nie zajmowali się polityką wewnętrzną.., doskonale!

— Tak, ale pan zapomina, że żyjemy dzisiaj w ciężkich czasach. Sądy uniewinniają osoby, które zwymyślały rewirowych cyrkułów, ziemstwa rozprawiają o seminaryach nauczycielskich, o stowarzyszeniach robotników, o fabrykacyi sera... A przytem namnożyło się aż do zbytku przedstawicieli porządku moralnego: co krok stąpić — nieproszony obrońca. A każdy uważa sobie za obowiązek, przestrzedz, uprzedzić, zawiadomić, wskazać grożące niebezpieczeństwo... I jakżeż się tu nie lękać?...

— A więc obecnie znajduje się pan w ekskursyi, w przedmiocie „usposobienia umysłów?“

— Tak, jadę z Z., gdzie „według wiarogodnych wiadomości“ zasiadło całe gniazdo niedobromyślnych, i mam zamiar zatrzymać się tu aż do przyjścia wieczorowego statku do L., gdzie, według tychże „wiarogodnych wiadomości“ zasiadło drugie całe gniazdo niedobromyślnych. Pojmuje pan, dwa gniazda, na przestrzeni 30 do 40 wiorst!

— Prawda, jakaż moc gniazd! My zaś, prostaczkowie, jeździmy, chodzimy, jemy, pijemy, usiłujemy — i nawet nie podejrzywamy, że wszystkie te nasze czynności odbywają się, że tak powiem, w samym odmęcie niedobromyślności!

— Tak. Ot naprzykład, przypuśćmy, pijesz pan teraz herbatę w restauracyi, a naprzeciwko przy drugim stole pije inny jakiś jegomość. Nu, pan się patrzy na niego, rozmawiasz pan z nim otwarcie, jak z człowiekiem, który pije herbatę. Bac — a on niedobromyślny!...

— Ileż tu niebezpieczeństw!

— Niebezpieczeństw dziś dużo, a najgłówniejszem niebezpieczeństwem jest zły zwyczaj mędrkowania w rozmowie. Należy koniecznie zwyczaj ten porzucić i starać się mówić jaknajprościej, szczególniej zaś w restauracyach i w domach tolerowanych. Weźmy dla przykładu, choćby wyraz „asocyacya.“ W rzeczywistości wszedł on już tak w zwyczaj w literaturze, że nikt się go już nie lęka. Ale restauracye i domy tolerowane trzymają się jeszcze słownika akademickiego, do którego wyraz ten jeszcze nie trafił. Dlatego też, jeśli tam wymawia pan wyrazy: asocyacya, irygacya, aberacya — wszystko jedno: markierzy i istoty upadłe, zawsze zrozumieją, że pan szerzysz rewolucyę.

— Zapiszę sobie pańską uwagę. Ale powiedz pan, proszę, czem właściwie zajmują się osoby, należące do stanu „niedobromyślnych!?

— Zajmują się, po większej części, niedobromyślnościami; stąd właśnie wynika i sama nazwa „niedobromyślnych.“ W szczególności zaś, prowadzą się nie po szlachecku. Tak naprzykład obywatel Anpietow zaprosił kilku włościan, osiedlił ich razem ze sobą, przyjął ich sposób życia (tylko on pali papierosy Laferma a oni mahorkę) i sam na równi z nimi orze ziemię.

— Sam orze?

— Sam w pierwszym pługu i przy pierwszej kosie. Korzyści jednak dzielą najzupełniej zgodnie ze wskazówkami nauki ekonomicznej; naprzód wyliczają procenty na kapitał zasobowy i obrotowy (te procenty niedobromyślne bierze na swoją korzyść), potem odkładają pewien procent na wynagrodzenie za pracę, zużytą przy przedsiębiorstwie (procent ten również bierze niedobromyślny, w charakterze przewodnika robót); następnie, pozostałość składają do wspólnej kasy.

— Hm... więc ceni kapitał?

— Nawet bardzo ceni.

— I cóż... Ach, rozumiem! „Pozostałość składają do wspólnej kasy“ — a więc... i leniwy i dzielny... Tak! to tak! Ależ to prawie toż samo, co „droit au travail.“

— No, do tego jeszcze daleko! Oni to tłomaczą daleko prościej; naprzód drobiazgowością rachunków, a powtóre tem, że jakaś tam dwudziestówka nie warta zabiegów. Wszak przy tym systemacie każdy stara się czynić wszystko możliwe, aby tylko czysty zysk powiększyć; czyliż przeto należy zmniejszać płacę człowiekowi, który wykosił o jeden lub dwa funty trawy mniej od drugiego?

znać przypadkowi. Daremnie. Od początku świata jabłka spadały a lampki w kościołach chwiały się — dopiero jednak Newton odkrył prawo przyciągania, a Kepler — wahadła. Niejeden również palił trociny — ale Lebon jedynie wydobył z nich gaz oświetlający. Jak przystało na wielkiego człowieka został... zamordowany.

Siadając na statek parowy, ani przypuszczacie, jaka niedola go wykołysała. Ojciec jego, Dyonizy Papin przeszedł do nieśmiertelności w cierniowej koronie. Odtrącany, prześladowany, pozbawiony wszelkiej pomocy, będąc w Niemczech, zbudował sobie stateki, mimo zakazu burmistrza z Münden, postanowił popłynąć do Anglii. Dnia 24 września 1707 r. wsiadł na niego z żoną i dziećmi oraz kilkoma lichymi sprzętami, które stanowiły cały jego majątek, i dotarł aż do miasta Loch. Ale tu zagrodziło mu dalszą drogę stowarzyszenie przewoźników, upominających się o swoje przywileje. Zrozpaczony Papin protestuje, opiera się; naprózno wzywa ratunku mieszkańców; przewoźnicy rzucają się na statek i burzą zaciekle maszynę wraz z kołami wobec osłupiałego starca. Dzięki temu napadowi rozwój żeglugi parowej opóźnił się tylko o całe... stulecie. Papin umarł w nędzy. Podobny los spotkał jego następcę Johna Fitcha, który zdruzgotany zawodami, rzucił się w to samo morze, którem zawładnąć pragnął. Znaną jest historya trzeciego wynalazcy w tym sławnym rzędzie, Fultona, który chciał sam pokonać Anglię swymi podwodnymi statkami a wywołał tylko szyderczy uśmiech Napoleona I, najgrawającego się z pomysłu waryata. Nie dziwmy się jednak zaślepionemu pogromcy Europy. Jeszcze Thiers twierdził, że gdyby zażądał od Izby koncesyi na kolej do Rouen, zrzuconoby go z trybuny. Arago zaś nie mógł się pogodzić z myślą, ażeby ludzie przejeżdżali przez tunele.

A teraz, czytelniczki, posłuchajcie dziejów maszyny do szycia, którą może uważacie za pieszczochę losu, powitaną oklaskami. Twórcą jej był syn farbiarza a później krawiec, — Bartłomiej Thimonnier. Nie odebrawszy żadnego wykształcenia, nie posiadał najelementarniejszych nawet zasad matematyki. Przez cztery lata, z trudem zarabiając na chleb dla rodziny, cały czas spędzał w odosobnionem mieszkaniu, zajęty nikomu nieznaną pracą. Skutkiem tego zaniedbał warsztat, utracił kredyt i zyskał opinię waryata. Nareszcie w r. 1829 wynajduje maszynę do szycia. Chwilowo błysła mu nadzieja: dostaje się do Paryża i rozpoczyna urzeczywistniać swój pomysł na szeroką skalę. Rozjątrzeni jednak robotnicy wdzierają się do jego zakładu, niszczą wszystkie przyrządy a wynalazcę zmuszają do ucieczki. Dalsze niepowodzenia przywiodły go do nędzy. Pieszo wracał do rodzinnego miejsca z maszyną na plecach, której cuda pokazywał po drodze dla zarobienia na chleb. Żywiła ona go tak, jak sabaudczyka małpa lub swierszcz alpejski. Jeszcze raz dźwignął się, umarł jednak ubogi.

Jeżeli praktyczne, dotykalne twory geniuszu ludzkiego rodziły się i dojrzewały w takiej poniewierce, to jak się dziwić, że mniej uchwytne przechodziły przez zniewagi i męczeństwa, że Kepler dla chleba musiał układać kalendarzyki i horoskopy, że Estienne był prześladowany za wydrukowanie Starego Testamentu w dużym formacie a Nowego — w małym, że nieprzyjaciele jego słynnego następcy obwozili po mieście świnię, na której grzbiecie wypisane było nazwisko spalonego później Stefana Doleta?

Wobec tych okrucieństw zrozumiałemi wydadzą nam się kwawe karty pamiętnika Campanelli. „Zamknięto mnie — pisze — w pięćdziesiątem więzieniu i siedem razy poddano najsroższej torturze. Ostatnim razem męczarnie trwały czternaście godzin. Skrępowany silnie sznurami, które mi łamały kości, zawieszony z rękami, związanemi na grzbiecie, nad ostrym palem drewnianym, który mi zniszczył szóstą część ciała, utraciwszy dziesięć funtów krwi, uzdrowiony cudem po sześciomiesięcznej chorobie, wrzucony zostałem do lochu. Piętnaście razy stawałem przed sądem. Za pierwszym razem, gdy mnie spytano: jak możesz wiedzieć to, czegoś się nigdy nie uczył, czy masz na rozkazy szatana? — odpowiedziałem: aby nauczyć się tego, co wiem, użyłem więcej oleju, niż wy wypiliście wina. Innym razem znowu obwiniono mnie o autorstwo pamfletu drukowanego na trzydzieści lat przed mojem urodzeniem... Oskarżano mnie o bunt i herezyę, gdyż utrzymywałem, że istnieją plamy na słońcu, księżycu i gwiazdach, wbrew Arystotelesowi, poczytującemu świat za zwichnięty i nieulegający zepsuciu. Z tego też względu wrzucono mnie, jak Jeremiasza, w zapadłe jezioro bez powietrza i światła.“

Tego krwawego piętna nie zmyją z czoła prawowierności wszystkie jej święcone wody.

Zamykając te okropne wspomnienia wskrzesimy z ich grobu jednego człowieka, który chociaż cudzoziemiec, ma szczególne dla naszego kraju znaczenie. W r. 1810 Napoleon I, chcąc zadać ostatni cios przemysłowi bawełnianemu anglików, ogłosił konkurs z nagrodą miliona franków za najlepszą maszynę do przędzenia lnu. Do turnieju stanął i zwyciężył Filip Girard. Rząd, przerażony tym kosztownym tryumfem nieznanego człowieka, uciekł się do oszustwa: rozdzielił nagrodę i zażądał dodatkowo, aby nić miała 400.000 metrów długości w jednym kilogramie wagi. Girard zaprotestował — milionowa obiecanka znikła, gdy przyszło do wypłaty, i nie uchroniła nawet wielkiego wynalazcy od więzienia za długi. Zniechęcony udał się do Austryi, gdzie stał się twórcą żeglugi parowej na Dunaju. Ale i tu nie znajdując przyjaznego gruntu, wyjechał do Polski

---

— No więc cóż stąd... zresztą, istotnie, dziwne bo jest — obywatel, i sam orze!

Wszakże z drugiej strony, może nie potrafi do niczego innego zastosować swej pracy? Może właśnie jego miłość własna na tem polega, ażeby stać przy pierwszym pługu i przy pierwszej kosie? Wszak pan wie, że naprzykład Ludwik XVI szczycił się tem, że był wybornym tokarzem?

Ja sądzę nawet, że sam systemat wynagradzania robotników, w formie współudziału w czystym zysku, jest rzeczą bardzo podejrzaną, gdyż tym sposobem zmusza się robotnika do sumienniejszej pracy, przez co ubocznie współdziała podwyższeniu wartości ziemi. To jest, znowu wzbogaca się kieszeń właściciela kapitału.

— Wszystko to możliwe, a jednak „jakoś dziwne.“ Pamięta pan, Ostrowski ma dwie słabe strony: szlachtę i kupiectwo. Wyobraź pan sobie, że kupiectwo zaczyna ni stąd ni z owąd działać po szlachecku— wszak to hańba? Tak i ten. Przyzwyczailiśmy się wyobrażać sobie właściciela ziemskiego, albo odpoczywającym, albo pijącym herbatę na łące, lub też łapiącym karasie w stawie, albo spędzającym czas w kole miłych gości — a w tem i — pierwszy pług! Nieprzyzwoicie! Nieprzystojnie! Oburzająco!...

— Ale wszakże dziś znaczna część „gniazd szlacheckich“ dostała się w ręce kupców, skupniów, leśników; a więc i same sposoby rozporządzania własnością ziemską, siłą wypadków, zmieniły swą postać?

— Tak niby, ale i skupnie starają się dziś postępować „szlachetnie.“ Siedzą w cieniu, piją herbatę, smarzą konfitury, a w chwilach odpoczynku okpiwają chłopków.

— Przez kogoż pan otrzymuje te wiadomości o usposobieniu umysłów?

— Czyliż mało dymisyonowanych poruczników, sztabs-kapitanów, sekretarzy gubernialnych i kolegialnych, włóczących się bez zajęcia? Wszyscy oni dziś mają się za przedstawicieli porządku moralnego i walki. Żyją oni wprawdzie mizernie, i chłodno i głodno, ale jakoś do rzeczy nie mogą żadną miarą trafić. Ot już od czasu zniesienia pańszczyzny „wiszą w powietrzu.“ Ani do uprawy, ani na sędziów pokoju — nigdzie ich nie dopuszczają. Niech ich tylko zabolatują — zaraz zaczynają zlekka dotykać to tego, to owego, z tej partyi, która tryumfowała na wyborach. I zaraz — przestróżka!...

— Jednak, istotnie, jaka się tu marność u was zagnieździła!

— Najwięcej z biedy i zmartwienia. Jakie ci obrońcy porządku moralnego mają folwarki, czem się w nich karmią, w jakich siermięgach chodzą — trudno sobie nawet wyobrazić! Nędzny to naród — plotkarz naród. Zaraz zapoznam pana z pewnym kapitanem tego gatunku. Kiedyś służył tu z wyborów, potem był pod sądem za ukrycie zabójstwa i został wypędzony ze służby: następnie zasiekł swą dziewkę folwarczną, znowu był pod sądem i zostawiono go w podejrzeniu... Słowem, cała lista stanu służby. A teraz, podtrzymuje „dobre zasady.“ A przytem jaki rzutny — co tydzień wiadomostka!

— I pan wierzy tym plotkom?

— No, ja to właściwie z punktu humorystycznego...

— Za pozwoleniem! Ależ przecie pan powinien zdać raport... no choćby o tem, co ma dziś nastąpić?

— Raport? A pamiętam, u pana nawet wypadło mi odejmować wyrażenie „czekać postępków.“ Więc otóż, w tem samem wyrażeniu koncentruje się program wszystkich mych raportów, przeszłych, teraźniejszych i przyszłych. Powiem nawet więcej: swój raport mógłbym najwygodniej napisać we własnej rezydencyi K-skiej, nie przyjeżdżając tutaj. I jeżeli mnie pan tu widzi, to jedynie tylko dla skonstatowania mej obecności.

Znowu bystro spojrzał mi w oczy; postarałem się skorzystać z tej sposobności, by pochwycić w jego rysach choćby cień zmięszania. Ale niestety nic podobnego dostrzedz nie mogłem.

Bywają ludzie, którzy narzucają sobie bystrość dla zamaskowania pewnej trudności położenia, ale w Kołotowie, nie istniało, na pozór, ani odrobiny myśli o jakiejkolwiek trudności. On najzupełniej szczerze cieszył się dobrym humorem i dowcipkował na własny rachunek wcale bez przymusu i wesoło.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

dla założenia przędzalni, noszącej do dziś jego nazwisko (Żyrardów). Obok tego kraj nasz zawdzięcza mu wiele innych użytecznych wynalazków: przyrząd do wytłaczania i odparowywania soku burakowego; koło hydrauliczne do użytkowania z wielkich spadków wody; udoskonalenie metalurgii cynku; urządzenie na fasadzie Banku Polskiego ciepłomierza i meteorografu w Obserwatoryum astronomicznem; przyrząd do wyrabiania łoża strzelb; maszynę do nadawania ruchu obrotowego ciałom kulistym; systemat ogrzewania powietrza w wysokich piecach; wielkie maszyny parowe bez wahadła; wiele przyrządów hydraulicznych i astronomicznych; maszyny do rozkręcania i przędzenia pakuł lnianych; dynamometr kontrolujący; wreszcie maszyny do wyrobu cegły, do młócenia zboża i wyciągania drutu żelaznego.

W r. 1844 Girard wrócił do Francyi, a w następnym umarł, dokończywszy życia z małej emeryturki i jałmużny.

Wszystkie te krwawe, rozdzierające lub smutne obrazy przesunęła znowu przed naszą myślą świeżo wydana w polskim przekładzie i drzeworytami ozdobiona książka Gustona Tissandiera p. t. *Męczennicy w imię nauki* (Warszawa, Gebethner i Wolff). Chociaż niedolę wielu bohaterów wiedzy przecenia (Tycho Brache), a wielu niesłusznie palmę męczeńską przyznaje (Descartes), jestto jednak galerya widoków tak wymownych, tak pouczających, tak wrzynających się w pamięć czytelnika, że witamy ją w naszej literaturze z prawdziwą radością. I u nas — jak to zresztą wykazuje jeden z artykułów obecnego numeru *Prawdy* — i u nas „rzeczpospolita nie lubi chemików." W martyrologii naukowej niema ani jednego męczennika polaka, prócz może nieszczęsnego K. Łyszczyńskiego, którego spalono, zanim zbuntowana jego myśl dojrzeć zdołała; taka więc książka, która budzi cześć dla geniuszów, dodaje odwagi duchom walczącym, wyrabia chęć i zdolność do poświęceń a wreszcie wykazuje płodność tych cierpień, taka, mówimy, książka jest w literaturze orzeźwiającem tchnieniem. Jej przekład? Nie mając oryginału pod ręką, nie możemy sprawdzić kilku wątpliwości; ogółem jest gładki i czysty.

A. S.

POEZYE MARYI KONOPNICKIEJ.

(Warszawa, Gebethner i Wolff).

Na kwieciste niwy poezyi refleksya wlewa się obfitym strumieniem. Przewaga myśli nad obrazowością, idei nad plastyką, rozumowania nad uczuciem—jest cechą, wydatną w najnowszych płodach mowy bogów. „Wierzę w ducha potęgę i w wiedzy zdobycze" — tak się zaczyna *Credo* w poezyach pani Konopnickiej, która jest nową a prawdziwą, choć trochę mglisto świecącą gwiazdą na horyzoncie pieśni naszej. W jednym z *Fragmentów* poetka wypowiada długą deklamacyjną odę na cześć duchowego powołania poety i myśliciela, w której roztaczając nad pierwszym aureolę czci, drugiemu jednak przyznaje donioślejsze posłannictwo „odkrywania dróg przyszłości." Idea w poezyi pani Konopnickiej pojawia się już to jako siła żywotna, budząca ogień potężnego zapału, już to jako ujęte w symboliczny kształt skojarzenie pojęć oderwanych;— refleksya zaś występuje jako smętna zaduma nad niedolą świata, jako skarga na wewnętrzny rozdźwięk, jako natrętne pytanie ciemnej zagadki istnienia a tonące w niem bez odpowiedzi. Wszystkim oskarżycielom wieku naszego, wszystkim łzawym adwokatom, wytaczającym mu proces za nieposzanowanie dawnych ideałów, poetka odpowiada w przepysznym *Fragmencie* (str. 147), którego każdy wyraz brzmi potężnie a rzeźko, jak pobudka bojowa. Jest to druzgotanie jowiszowe wszystkich kwaśno-smętnych maruderów idealizmu, którzy w nieskończonych odmianach wyśpiewują skargi na urojone i prawdziwe grzechy stulecia. Tym mazgajom i marzycielom bezpłodnym powiada z męką siłą kobieta, żeby „znaleźli ton, co tętnem jest stuleci" a „ona da im milion serc wzruszonych." Rada wyborna, wypowiedziana energicznie; ale czy łatwa do wykonania dla samej poetki? Niezawsze. To pewno, że tego tonu szuka ona usilnie, że potrąca często pokrewne dźwięki, ale jej talent nadto jest idealistyczny, nadto wypiastowany w sferze abstrakcyi i marzycielstwa, nadto pochodem myśli oderwany od życia, aby mógł być zawsze rzecznikiem „tętna stuleci." Poetka zstępuje często z wyżyn, w których jej umysł lubi przebywać, na padół nędzy społecznej, ale jej *Obrazki* dowodzą, że współczuje z nią teoretycznie, że nie zasila swych utworów poezyi obrazami dobrze schwyconymi z życia, że nie umie o skargach niedoli społecznej mówić, jak należy „poprostu a z krzykiem" Chcąc oddać boleść nędzarki, którą nędza zmusza do rzucenia dziecięcia na bruk uliczny, poetka deklamuje bardzo patetycznie i każe na końcu „myślicielowi" dumać o tem, *co pocznie* matka, zastanawiać się nad ciemnością zagadek życia. Inne poezye, natchnione głęboką sympatyą dla niedoli ludzi pracy, zmuszonych ponosić bolesne cierpienia dla utrzymania biednej egzystencyi (*Wolny najmita*), żalące się nad ciasnotą duchowego horyzontu niewolników pracy (*Sobotni wieczór, Czymarząc*) wreszcie natchnione humanitarną myślą obrazki (*Przed sądem, Z wiejskiej szkółki, Bez dachu*) pomimo istotnych piękności, pomimo szczerze demokratycznego ducha, grzeszą pewnym niedostatkiem realizmu, który jest koniecznym w tego rodzaju utworach, gdyż inaczej poeta nie osięgnie zamierzonego w nich celu, nie poruszy słuchacza wymownym deklamacyjnym frazesem, nie pociągnie jego umysłu obrazem nietrafnym, albo rozpływającym się w krasomówczej pianie.

Gdy poetka wypowiada ogólniejszą myśl społeczną, wtedy pierś jej pełniejszym brzmi tonem, jak w owej pięknej *Jaskółce*, która symbolicznie przedstawia nowy prąd świeżych myśli postępowych, płynących z zamorza i budzących w dworkach wiejskich współczucie nad nędzą i ciemnotą ludu, albo w prześlicznym *Fragmencie* (str. 255), gdzie porównywa nędzę społeczne w dawniejszym klasycznym świecie z nędzą dzisiejszą, jęczącą w ucisku pomimo chrześciańskich godeł cywilizacyi. Jest to jeden z najgłębszych utworów poetki, która bardzo słusznie rzuca pytanie: czemu niedola słabych i upośledzonych jest tak wielką w świecie, który się nazywa chrześciańskim, a który jest tak dalekim od społecznych ideałów chrystyanizmu, głoszących powszechną równość i braterstwo? Taka skarga nie jest czczem i marnem kwileniem, ale protestem, pełnym głębokiej a uprawiedliwionej goryczy, nastrojonym na ton, który coraz to mocniej brzmi w akordach współczesnej symfonii świata. Tonem tym dźwięczą także śliczne poezye *Z dni smutku* w których autorka woła potężnie: „O dajcie usta wszystkim krzywdom ziemi" i w duchu swego idealnego deizmu rzuca w błękit niebios skargi na wszystkie cierpienia ludzkości, tak niepogodzone z ideą miłościwych rządów świata. W drugim fragmencie owych poezyi smutku słyszymy rozdzierające, głęboko bolesne wykrzyki:

> Czemu ta przepaść, która braci dzieli,
> Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli,
> Tak jest bezbrzeżną jako oceany
> A taką straszną, jak rozwarte rany?

Poetka nie dlatego jednak mówi o nieszczęściach i nędzach dziejowych, aby kląć i złorzeczyć światu, ale od głębokich, gwałtownych dźwięków goryczy przechodzi do gorącego pragnienia lepszej przyszłości a w duchu swego *credo* wygląda chwili, w której „światło zwycięży otchłanie." Wkrótce jednak poetka otrząsa się ze smutku, podnosi zalzawione oczy ku niebu i w *Modlitwach wiosennych* wygłasza szereg lotnych hymnów, tchnących pogodną nadzieją, błagających o siłę i szczęście dla ludzkości. Czasami wprawdzie goryczej jej duszę zaleje, czasami zapytuje, *Czy warto:* płakać nad ranami ziemi, które są bez ratunku? Pytania niespokojne a bolesne tłumnie cisną się w jej głowie, błędne myśli śle w przestrzeń mglistą, nie słyszy nigdzie odpowiedzi a zagadka losu ukazuje jej tylko swe sfinksowe oblicze (*Co to jest życie?*), dumająca i zbolała czuwa *W krainie nocy*, a wątpliwości i zagadki otaczają ją tłumnym orszakiem. Chwilowy niepokój jednak ustępuje zbyt optymistycznej nadziei, gdyż poetka na chwilę mniema, że gdy stanie oko w oko z tajemnicą... duch jej przejrzy to, co niezbadane. Podobne przeskoki od goryczy i zwątpienia do słów pokrzepiającej nadziei i wiary w lepszą przyszłość są zjawiskiem pospolitem w obecnej generacyi poetów, którzy nie mogą dojść do wewnętrznej równowagi. Dumając nad losami myśli człowieczej, poetka widzi, że walka na której ścierają się różne jej prądy jest *najkrwawszem polem*, i wzdycha niepotrzebnie do Boga, aby koniec temu bojowi położył i sprowadził spokój, który byłby martwotą. Gdy ją kto pyta, dla czego dręczy się wątpliwościami, odpowie: *Nie dziw się*, że śmiem pytać Boga o losy cierpiącego świata, ponieważ dzisiaj nic nie jest pewnem, niezmiennem i prawdziwem. Sama, szarpana wątpliwościami, ma jednak słowa pokrzepiającej przestrogi dla tych, którzy umieją tylko biadać nad niedolą (*Ty się nie skarż*), i pociesza ich, że przyjdzie czas tryumfu dla wszystkiego, co słabe i poniżone, co ginie marnie w wielkiej wrzawie świata.

Zstępując z wyżyn wielkich zagadnień umie nareszcie w przecudownym wierszu *Do kobiety* z porywającym i poetycznym zapałem nakreślić jej drogę powołania w rodzinie zgodne z potrzebami dzisiejszego czasu i tłomaczy katechizm miłości wzniosłym językiem obowiązku.

Te wszystkie utwory, nacechowane znamieniem idei, stanowią najlepszą cząstkę ogólnego zbioru, wypełnionego zresztą wierszami liryczno-opisowemi rozmaitego nastroju, których znaczenia bliżej tu określać nie będziemy, chwytając tylko górujące rysy twórczości poetki. Mamy tu cykl opisowy *W górach*, będący panoramą wdzięcznych, ale luźnych obrazów, opleciony liryką, wśród których przewija się czasem nuta ludowej pieśni, przefantazyowana misternie jak w szopenowskich marzeniach muzycznych. Tu i owdzie plączą się lotne i delikatne sploty sielanki (*Idylla, Echo majowe*), albo snuje się *Romans wiosenny*, będący, na wzór w *Szwajcaryi* Słowackiego, przesubtelnem poetyzowaniem uczuć miłosnych na tle powabów natury, swojskiej i prostej. W dziedzinie epicznej talentowi p. Konopnickiej brak wyrazistości. Dwie powieści rzymskie: *Tarcza Scypiona* i *Klaudya*, niejasne w układzie, pomimo tu i owdzie świetnego obrazowania, grzeszą zupełnym brakiem klasycznego rytmu, nadmiarem refleksyi i obłocznej mglistości, która zresztą rozpościera się niepotrzebnie nad wieloma innymi utworami.

Pomijamy inne utwory czysto egotycznego charakteru, oraz piękne idealne marze-

nia, aby rzucić okiem na ogół poezyi wypełniających tom obszerny. Wieje z nich duch podniosły, czysto idealny, tchnący głęboką miłością dla prawdy i swobody ducha, współczujący z niedolą biednych i uciśnionych. Myśl szlachetna, która unosi się nad nędzami życia, serce gorące, co pragnie szczęścia dla wszystkich, łączą się tu w harmonii wzniosłych pragnień godnych poetki prawdziwej, zasługującej na kapłańskie pomazanie w świątyni sztuki. Umysł jej silnie przejęty duchem czystego deizmu, wrażliwy na ogólno ludzkie zagadnienia, pomimo całego marzycielstwa i elegijności zwraca się śmiało ku jasnym jutrzniom swobody, ku wielkim sprawom i cierpieniom chwili dzisiejszej. Wolny od przesądów, chociaż nieprzejęty dzisiejszemi ideami filozoficznemi, szamocze się czasem w wewnętrznej walce, ale nie ma nigdy porywów wstecznych, nie staje w poprzek pragnieniom bezwzględnej swobody myśli, nie wyklina jej i nie złorzeczy. Pod względem siły twórczej odznacza się poezya p. Konopnickiej wielką energią, zapałem i śmiałym polotem myśli, którym bynajmniej nie dorównywa płodność fantazyi. Pomimo widocznej tu i owdzie zdolności do obrazowania, umysł jej nosi na sobie piętno abstrakcyjne i nie okazuje tego bogactwa wrażeń, bezpośrednio chwytanych z rzeczywistości, tego skupiania ich w poezyi, które nadaje taką barwność i siłę kolorytowi poetów, czerpiących żywotne soki ze zdroju realizmu. Poezya pani K. nigdy prawie nie jest przedmiotową. Autorka rzadko stara się o potęgę plastyczną, ale zwykle pragnie wypowiedzieć wewnętrzne burze i troski, albo z gorącym apostolskim zapałem wygłosić myśl podniosłą a płodną. Dla tego też przy widocznym niedostatku plastycznej fantazyi poezya staje się tutaj po większej części piękną wymową i płynie w toku przeważnie krasomówczym. Gdy zapał jest goretszy, tętni ona energią, sięga wyżyn wzniosłości, ale często także wpada w niepotrzebną patetyczność, staje się deklamacyjną, i tonie w zbytniem wielosłowiu, albo z powodu ciągle podniesionego nastroju wpada w jednostajność, która przy czytaniu większego zbioru często jest nadto nużącą. Idealność autorki nie ma ruchliwej zmienności tonu i kolorytu, którą odznaczają się poeci realni i przedmiotowi. Ogromna swoboda i łatwość tworzenia widoczną jest w formie zawsze świetnej, dźwięcznej, harmonijnej, już to płynącej jasnym strumieniem, już to rozpryskującej się na migotliwe błyski. Zsumowawszy wszystkie *za* i *przeciw*, widzimy że pani K. jest niepospolitą indywidualnością twórczą, a obok Asnyka — wybitną wyrazicielką poezyi, niepokłóconej z duchem czasu. Talent jej potrzebuje jeszcze pod pewnym względem zmężnieć, nabrać więcej jędrności, ale dzisiaj ma już niezwykłą siłę. Że on rośnie, świadczy o tem najnowszy utwór poetki *Ja się nie skarżę*, pomieszczony niedawno w *Bluszczu* a należący do prawdziwych pereł liryki. Jest to jeden z najśmielszych podrzutów poetycznej myśli, która ulatując nad niedolami życia wyraża w duchu dzisiejszym głęboką ironię sprzeczności nędzy świata z pojęciem o sile i wielkości jego władzcy. Utworu tego niepowstydziłby się pierwszorzędny mocarz pieśni.

J. K.

WŁODZIMIERZ SPASOWICZ

jako krytyk literacki.

(Dokończenie).

W studyum o Polu, po świetnym wstępie o prawach krytycyzmu, Spasowicz charakteryzuje epokę, która wydała poetę i jej skierowanie ku religijności „tryumfującej po wszystkich umysłowych rozbiciach,“ dopatruje w jego umyśle cechy wyniosłej martwoty, ślepego przywyknienia do form starych, do pojęć skrystalizowanych, skupia rysy wstecznej, zakamieniałej niechęci przeciwko wielkim prądom swobodnym, liberalnym. Następnie trafnie okazuje w Polu dziedzica messyanizmu i eposu szlacheckiego, otrzymującego ten spadek po poezyi romantycznej, odznacza dwie fazy jego działalności rozgraniczone rokiem 1846, a rzuciwszy o pierwszej kilka tylko dość niewystarczających poglądów poświęca drugą ocenie historyzmu Pola a raczej jego fałszywych ideałów dziejowych, i streszcza świetnie jego znaczenie w literaturze jako „poetycznego antykwaryusza.“

Pomijając szczegóły przyznać należy, że krytyka o Polu ma znaczenie przeważnie pod względem ujemnym, jako spokojna a niepodległa analiza jego społecznych ideałów. Ci którzy chcą obronić autora gawęd staroszlacheckich jako objektywnego malarza znajdą tu obfitą ilość dowodów, że Pol stawiał po za obrazami idee, przeciwko którym walczyć musi niepodległy krytycyzm w imię postępu i swobody myśli. Sąd o Polu tak wyłączne zawarł Spasowicz w ramach społeczno-dziejowych, że indywidualność artysty mniej wyraźnie zarysował aniżeli w studyum o Syrokomli, którego także główny rezultatem jest ocena stanowiska poety w stosunku do zagadnień ogólno ludzkiego postępu. Kwestye artystyczne, dzieje fantazyi obu poetów, cała jednem słowem psychologija estetyczna w obu studyach stoją na drugim planie. Poznajemy doskonale wartość poetów jako działaczów społecznych, ale charakterystyka ich artystycznej mocy jest bardzo skąpą, opartą zaledwie na kilku doraźnych rysach, wskutek czego brak obu portretom a szczególniej drugiemu, tej artystycznej wyrazistości, tego schwytania na gorącym uczynku roboty umysłu i fantazyi jaka cechuje wizerunki literackie Taine'a albo Brandes'a. Wskutek tego studyum o Polu rzeczywiście podlega zarzutowi, że pominęło wysokie estetyczne przymioty utworów poety, a cały epilog odskakuje tu nagłym optymizmem od poprzedniego rozumowania. Po tem, co Spasowicz powiedział o ogóle utworów Pola, wyłączając „Pieśni,“ „Obrazy z życia i podróży“ i „Mohorta“ trudno pojąć dlaczego nazywa go „mistrzem wielkiej ręki,“ a jeszcze trudniej przyznać razem z krytykiem, że żaden poeta nie oddał z większą mocą podniosłego „pragnienia czegoś wyższego nad poziomą rzeczywistość, rwania się ku czemuś idealnie doskonałemu.“ Wydzieliwszy z poezyi Pola uczucie patryotyczne, będące najświetniejszym jej klejnotem, trudno doprawdy na jego pełnych brawury, werwy, kolorytu, ale tak często tchnących fetyszyzmem dla błędów przeszłości gawędach, wypisać hasło: Excelsior! Sam Spasowicz doskonale dowiódł, że poezya ta rozgrzewała serce miłością kraju ale usypiała myśl apoteozą kastowości, idealizowaniem burdy i batoga. Jeżeli Polowi wyznaczymy miejsce zaszczytne w rzędzie duchów, rwących się ku wyżynom, to gdzież pomieścimy Göthe'go, Byrona i całą trójcę naszych wielkich wieszczów. Pogląd ten pojawia się więc w epilogu studyum Spasowicza w sposób niewytłomaczony, tembardziej, że o parę wierszy dalej mówi krytyk bardzo słusznie o szkodliwem zacofaniu się poety, któremu z drugiej strony przyznaje rolę stróża wielkich pamiątek.

Od obu prac o naszych poetach studyum o Hamlecie wyróżnia się bardziej wszechstronnem wyczerpaniem kwestyi i wiążących się z przedmiotem. Ponieważ nie chodzi nam o szczegółową kontrolę poglądów krytyka, powiemy tylko, że główną tu jego zasługą jest zupełna niepodległość wobec dotychczasowych badaczów i obranie jedynie właściwej metody krytyki, opartej ściśle i bezpośrednio na samym tekście arcydzieła, niezapuszczającej się w dopełnienia i wątpliwe hypotezy, pomimo całej szerokości poglądów. W drugiej zwłaszcza części tej pracy Spasowicz poprostu zdumiewa śmiałością a trafnością poglądów, wyjaśniając z wielką prostotą kwestyę braku działania w tragedyi, rozumując znakomicie cały wątek psychiczny dziejów bohatera. Szczególnie oślepiająco jasne światło rzuca na moralną atmosferę tragedyi, na cały świat społeczny otworzony przez poetę, wyjaśniając doskonale naturę jego wszystkich postaci. Krytyka jego jest tu dla tego tak znakomitą, że zrywa z wszelką estetyczną rutyną, ze sztucznem pogłębianiem pomysłów poety, z zaciekaniem się w możliwe intencye, że staje śmiałym ruchem swobodnej myśli niezależnie od wielkich komentarzy i opiera się na dobrem, bezpośredniem badaniu poety w świetle krytyki dziejowej i filozoficznej. Najsłabszą stroną studyum jest jego wstęp ogólny zawierający dość niejasne określenie poezyi, w którem pojęcia realistyczne mieszają się z kantowskim formalizmem. Wogóle teorye ogólno-estetyczne we wszystkich studyach roztapiają się w niejasnem obrazowaniu i nie mają bynajmniej wyrazistości. Rzecz inna gdy krytyk rzuca śmiałe, daleko sięgające poglądy dziejowo-literackie, gdy jednym ruchem myśli zwala uprzedzenia i rutyniczne nałogi, gdy kilkoma zdaniami objaśnia genezę wielkich momentów poetycznej twórczości. Pod względem zewnętrznego postaciowania studyom jego brak cokolwiek jasności w układzie, brak wyakcentowania bardzo ważnych zasadniczych poglądów, często potrącanych tylko ubocznie. Myśl jego śmiała, orygiginalna niezawsze biegnie prosto, czasami skręci na bok, błyśnie gzygzakiem albo utonie w obrazach. Podobnie jak u Taine'a, tok treści i stylu płynie obrazowo, posiadasobie właściwą jędrność, moc, mięsistość, czasem nawet staje się trochę chropawym z powodu zbytku zwięzłości. Właściwości stylu dopełniają tego wrażenia krzepkiej i niepodległej oryginalności, która przeciwstawia się dosadnie wielkiej rutynie i nie znosi utartych komunałów. Chociaż niezawsze wszechstronny Spasowicz umie na przedmiot rzucić światło, ukazujące nowe a nieznane strony, jednak zaliczamy go do prawdziwych potęg krytycznych. Nikt głębiej od niego nie objaśnił społecznego znaczenia utworów poezyi w świetle nowych postępowych idei, nikt nie stwierdził dowodniej tej prawdy, że płody literatury są to produkta życia, dla objaśnienia których nie wystarczają frazeologiczne deklamacye albo wyroki, oparte na paragrafach akademickiego kodeksu.

CALDERON.

(1601—1687).

O ile prawdą jest, że poezya dawnego narodu stanowi najwierniejsze zwierciadło jego zwyczajów i obyczajów, poeta zaś—najlepszego tłomacza jego ideałów, to prawda ta nigdzie może nie znalazła sobie większego zastosowania, niż w utworach Calderona, którego dwóchsetną rocznicę śmierci obchodziła Hiszpania i z nią cały świat ukształcony, przy końcu zeszłego miesiąca.

W istocie, mówić o Calderonie a nie znać dziejów Hiszpanii, rozbierać utwory tego poety, i nie wiedzieć, jakie są główne, charakterystyczne cechy hiszpanów, jestto wpatrywać się w skutek, nie znając przyczyny.

Żaden kraj może nie był, w swym historycznym rozwoju, narażony na tyle społecznych przewrotów, żaden nie przeniósł ich

cierpliwiej. na żadnym one nie odcisnęły tak głębokiego piętna, jak Hiszpania.

Przypomnijmy sobie jak długo grunt jej był drogą, przez którą ludy Europy, najodmienniejszego nieraz pochodzenia, odbywały pielgrzymkę swoją do Afryki; ile czasu żywioł, obcy zupełnie charakterem swym i zwyczajami (Arabowie), trzymał ziemię tę w nieograniczonem posiadaniu; przez ile wieków szczep germański, zmięszany tu bardziej niż gdzieindziej z romańskim oraz domieszkami azyatyckiemi, usiłował zagarnąć w ręce swoje berło, które mu wyrywano; jak dziwnym i niespodziewanym zupełnie trafem, Hiszpania od razu, przez odkrycia Kolumba i przejście następne pod panowanie Karola V-go, została wyniesioną w Europie do godności przodownika ich i wodza; przypomnijmy sobie wreszcie przyczyny, dla których propaganda rzymskiego katolicyzmu, z całą swoją wyłącznością, z mistycyzmem i z inkwizycyą, znalazła sobie w tym kącie Europy swobodniejsze, niż gdzieindziej, do działania, pole — a będziemy mieli dopiero pojęcie, *czem* i *jaką* być musiała Muza Calderona.

W istocie, czyżby Calderon, mimo swego kapłaństwa, był w utworach swoich tyle religijnym i niemal bigotem, ile nim jest np. w *Antos sacramentales*, gdyby nie był hiszpanem? czy *Książę niezłomny*, *Kochankowie Nieba*, mogliby powstać w myśli tegoż samego twórcy, gdyby ten był niemcem lub francuzem? Poznawszy dobrze przeszłość dziejową hiszpanów, zrozumiemy początek wszystkich rycerskich (Calderon był też żołnierzem) i miłośnych jego komedyj, (comedias de capay espada), i pojmiemy, dlaczego te, w dzisiejszym jeszcze czasie, gdzie tak małą w Europie rolę gra *miłość* i *rycerstwo*, utrzymują się w Hiszpanii na scenie i są przyjmowane z zapałem. Rozumiejąc to, pojmiemy także przyczynę, dlaczego po wielkiej sławie Calderona, za życia nastąpił okres (koniec XVII i początek XVIII wieku), zupełnego prawie o nim zapomnienia; dlaczego dziś wreszcie, w chwili powszechnego zastoju poezyi, hiszpanie tak tłumnie idą do mogiły wieszcza, którego najważniejszym przymiotem była umiejętność malowania z największą prawdą duchowego i obyczajowego życia narodu, śród którego się urodził.

Calderon, mimo nadzwyczajnej swojej płodności, która mu pozwalała uprawiać wszystkie znane rodzaje poezyj, był przeważnie jednak tylko dramato-pisarzem. Rzecz dziwna, gdy wszyscy prawie inni, pierwszorzędnej sławy, mistrze sztuki zyskali sobie rozgłos głównie oryginalnością, on pozyskał najpiękniejsze i największe laury. chociaż nie dał światu nic prawie nowego ani nieznanego przedtem, nie stworzył żadnej szkoły, lecz tylko kontynuował dzieło, zaczęte już przez innych.

Jak wiadomo, poprzednikiem Calderona na polu dramatu, był już mistrz taki, jak Lopez de Vega; wiemy też, że Hiszpania miała innych jeszcze, a wcale nieposlednich dramaturgów, przed 1600 już rokiem, datą narodzin Calderona (Valdivielso, Torres Naharro, Gil Vicente, Luis de Miranda, Alarcon, Tirso de Molina, Guerara etc.).

W tem właśnie zjawisku spoczywa może najważniejszy dowód wielkości słynnego pisarza. Musiał on w swoim talencie mieć wielką moc potęgi, musiał przymioty, cenione i chwalone w innych, posiadać w bardzo wysokim stopniu, skoro znajdował sobie u współczesnych i u potomnych szeroki rozgłos. Göthe, określając talent jego, mówi: „Szekspir daje nam w sobie pełne dojrzałe winne grono z krzewu; możemy z niego obrywać jagodę po jagodzie, wyciskać je, wysysać z nich sok lub łykać, zawsze będziemy orzeźwieni. Calderon, przeciwnie, nie pozostawia nic własnej woli widza; daje wydobyty już, oczyszczony do najwyższego stopnia winny spirytus, wzmocniony różnemi przyprawami; musimy napój ten przyjąć takim, jakim on jest, jako smaczny, kosztowny, pobudzający środek— lub odrzucić go zupełnie.“

Na czemże, oprócz zdolności wiernego malowania życia swojego narodu polega jeszcze wartość utworów Calderona, że je do dziś tak świat ceni, iż na wieniec, mający po 200 latach, ozdobić mogiłę jego, wszystkie oświecone ludy posyłają swoje kwiaty?

Najpierwsze prawo do wszechświatowego znaczenia, daje mu wyłącznie posiadana umiejętność wprowadzania w życie i nadawania wyraźnych plastycznych kształtów temu, co najmniej może do tego nadaje się w sferze sztuki — ideom, pojęciom i najbardziej nawet zawiłym dogmatom chrześcianizmu. U Calderona idea każda, choćby najbardziej oderwana, przybiera widome ciało, występuje w wyraźnej, żywej postaci, mówi do nas i działa. Pokusić się na coś podobnego w sferze dramatu, gdzie jak wiadomo, idzie najbardziej o życiową powszednią prawdę — umieć w tak misternych szatach usymbolizować pojęcia, wierzenia i zasady, aby te, w ogólnem powiązaniu swojem jedną całkowitą akcyą, nie wydawały się błądzącymi duchami na scenie, a interesowały nas, przyciągały do siebie i nie nużyły w drodze do ostatecznego rozwiązania — zaiste, umiejętność to rzadka, tem rzadsza, że Calderon osiąga cel nie żadnymi nowymi, oryginalnymi środkami, lecz znanymi i używanymi.

Jest też to przedewszystkiem pisarz chrześciański. O ile chrześciańska wiara rozlega się szeroko po ziemi — i ile sobą goręcej lub chłodniej interesuje serca, o tyle Calderon jest w sferze sztuki najlepszym jej i najjaśniejszym tłomaczem. Że naród hiszpański, jako na wskróś religijny aż do dewocyi, mógł pokochać Calderona, że do dziś jeszcze sztukom jego sypie huczne oklaski — rzeczą jest to jasną. Calderon zresztą tak się rozsymbolizował, że i pogańską religię również z jej bogami i boginiami wyprowadzał na scenę. Obok utworów tego rodzaju, jako głównych, wszystkie inne są już tylko drugorzędne.

Prócz Lopeza, nikt w dramacie od Calderona płodniejszym nie był. Począwszy od tragedyi, aż do humoreski scenicznej — wszystko znajdujemy w autorskim jego repertoarze.

Wpływ jego na swój naród i na inne narody współczesne, był ogromny; protegowany przez króla, który mu powierzał cały kierunek teatru narodowego, doszedł też do wielkiego znaczenia.

Inni poeci i artyści bili czołem przed jego powagą — dworacy uganiali się o jego łaski, — krytycy nazywali go słońcem ziemi... Po śmierci zaczęły się podnosić głosy przeciw powadze Calderona. Zaczęto go nawet traktować jako autora niemoralnego. Moradin (starszy), pisarz wówczas bardzo ceniony, napadł na najpiękniejsze z *Antos sacramentales*, nazywając je nietylko niebudującemi, ani niereligijnemi, ale nawet wyraźnie gorszącemi i szkodliwemi dla katolicyzmu. Doszło do tego, że wskutek złośliwych krytyk Moradina i Fajardosa, ministrowie Karola III, Aranda i Floridablanca zakazali przedstawiania *Antos'ów* na placach publicznych.

Jakiekolwiek były i będą jeszcze losy utworów Calderona, sądzimy, że dramaty takie jak: *Książe niezłomny*, *Kochankowie Nieba*, *Fernando Fenia*, *Córa Powietrza*, *Życie snem*, *Malarz swej hańby* i *Sybilla Wschodu*, — pozostaną prawdziwymi klejnotami historycznymi sztuki i poezyi. [1]).

T. T.

[1]) Na język polski przełożono: *Alkad z Zalamci* (Chłopicki); *Książe Niezłomny* (J. Słowacki); *Lekarz swojego honoru* (J. N. Kamiński); *Kochankowie Nieba* (K. Baliński). W *Pismach poważniejszych* Majorkiewicza znajduje się rozprawka „Religijność w Kalderonie.“

W SPRAWIE HIPOTEK WŁOŚCIAŃSKICH.

Od szanownego i zasłużonego badacza prawa odbieramy list następujący:

Panie Redaktorze! — „W perspektywie“ Nr. 22 *Prawdy*, projekt p. Jeziorańskiego o hipotekach włościańskich, wywołał kilka uwag, według których, projekt ów, lubo ze wszech miar pożyteczny, nie prędko zapewnie w naszym kraju zostanie urzeczywistnionym, skoro w ościennej Galicyi, mimo już wydania odpowiedniej ustawy, wiele jeszcze czasu upłynie, nim wejdzie w wykonanie. Twierdzenie to, o ile dotyczy naszego kraju, wymaga sprostowania, o zamieszczenie którego uprzejmie upraszam, ze względu na ważność przedmiotu przedstawionego w mylnem świetle.

Z treści uwag zamieszczonych „W perspektywie,“ wnioskuję, iż p. Jeziorański, którego artykułu nie miałem sposobności czytać, pragnie tylko uregulowania hipotek włościańskich. Otóż życzeniu temu, u nas, oddawna stało się zadosyć, jak o tem przekonywają następujące okoliczności. Według art. 33 Przepisów o wydawaniu listów likwidacyjnych, z d. (4) 16 sierpnia 1865 r., urządzenie hipotek dla osad włościańskich, nie tylko jest dozwolone, ale nawet w pewnych razach, w powołanym przepisie prawa wyszczególnionych—nakazane. Żadnych oddzielnych ustaw, mających na celu regulacyę hipoteczną osad włościańskich, nie potrzebujemy, te bowiem istnieją od 1818 r. o ile hipoteka osady włościańskiej ma być wniesioną do ksiąg hipotecznych gubernialnych, zaś od 1825 r. o ile osady włościańskie mają mieć hipotekę powiatową, znajdującą się przy Sędziach Pokoju. Do regulacyi tych mniejszych nieruchomości, żaden termin prekluzyjny nie został oznaczony, i regulacya każdej szczególnej nieruchomości zostaje przedsięwziętą, gdy o to zajdzie żądanie strony interesowanej (art. 11 pr. hip. z 1815 r.), zaś na Komisyę Sprawiedliwości włożonym został obowiązek urządzenia dla takich hipotek, skróconego i mniej kosztownego postępowania (art. 12 l. p.); jakoż Komisya Sprawiedliwości, wywiązując się z tego obowiązku, ułożyła odpowiednią instrukcyę pod d. 22 grudnia 1825 r., do dnia dzisiejszego obowiązującą.

W rozwinięciu powyżej przywiedzionej zasady, iż osady włościańskie mogą mieć, a niekiedy są nawet obowiązane, do urządzenia hipoteki, co zresztą jest prostem następstwem nadania ziemi włościanom na własność, w art. 2 przepisów z d. 12 lipca 1869 r. o wydawaniu pożyczek przez Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, toż Towarzystwo upoważnione zostało do udzielania pożyczek na osady włościańskie, posiadające hipotekę powiatową, i do tej czynności, udzielania pożyczek, miały być wydane oddzielne przepisy. O ułożeniu ich nie posiadam żadnej wiadomości; prawdopodobnie trudności, wypływające z organizacy władz Towarzystwa Kredytowego, stanęły temu na przeszkodzie, równie jak mała wartość osad tego rodzaju, lecz większa własność włościańska wynosząca 90 morgów, według uchwały Komitetu do spraw Królestwa Polskiego, z d. 3 lipca 1871 r., rozporządzenia b. Komisyi Sprawiedliwości z d. 16 (28) Czerwca 1872 r. N. 5541 i wyjaśnienia Minstra Finansów z d. 19 października 1872 r.,—ma prawo urządzenia dla siebie hipoteki gubernialnej i korzystania z pożyczek Towarzystwa Kredytowego; przy sprzedaży zaś osady włościańskiej przez Towarzystwo za zaległe raty, według wyżej wzmiankowanej uchwały Komitetu do spraw Królestwa Polskiego, nie mają miejsca ograniczenia, wypływające z przepisów istniejących o sprzedaży osad tego rodzaju, to jest, innemi wyrazami, że do kupna osady mogą stawać nie tylko włościanie. To ostatnie zastrzeżenie, postawione ze względów bezpieczeństwa

należności Towarzystwa, jest, według mego zdania, głównym powodem nie wydania dotąd przepisów o udzielaniu pożyczek Towarzystwa Kredytowego na osady włościańskie, mające jedynie hipotekę powiatową, zachodzi bowiem obawa, by drobna własność włościańska nie przeszła w inne ręce. Z powyższych przeto przepisów jasno wypływają następujące wnioski: 1) że wszyscy bez wyjątku właściciele osad włościańskich, mają prawo uregulować hipotecznie swoją nieruchomość; 2) że właściciele 90 morgów przynajmniej, mogą mieć księgi hipoteczne gubernialne, zaś właściciele mniejszych posiadłości, księgi hipoteczne powiatowe; 3) że pierwsi już obecnie mogą przystępować do Towarzystwa Kredytowego, — drudzy, chociaż pozbawieni tego prawa, mogą wszakże wykonywać wszelkie inne czynności hipoteczne.

Nadmieniam w końcu, że z prawa uregulowania hipotecznie swojej własności, włościanie korzystają, jak tego dowodzą ogłoszenia, umieszczane niemal w każdym numerze *Gazety Sądowej* z roku bieżącego, odnoszące się do osad złożonych, z 35, 25 a nawet 14 morgów, np. Wojciecha Drela we wsi Jedlna.

W takim stanie rzeczy należałoby raczej przedsięwziąć środki, dążące do wykazania włościanom korzyści, jakie mogą osiągnąć z uregulowania hipotecznego swojej własności, niż żądać poparcia projektu, od dawna w czyn zamienionego. Czyżby dopiero teraz, po upływie lat szesnastu, ogół miał dowiedzieć się o istnieniu prawa, dozwalającego regulowania osad włościańskich, tak samo, jak po czterech latach powziął wiadomość o prawie podawania skarg w języku ojczystym do Sądów gminnych, zaś po piętnastu latach, o prawie wybierania pełnomocników przez gminy? Taki wszakże wniosek musimy wyprowadzić ze wzmiankowanego artykułu p. J., ubolewając nad małem rozpowszechnieniem wiadomości prawnych, koniecznych dla każdego obywatela kraju, by mógł skutecznie stawać w obronie praw swoich. Dodaję w końcu, iż dwie pierwsze kwestye, dotyczące hypotek osad włościańskich i języka polskiego, starałem się rozwiązać w dwóch moich pracach, jednej p. n. *Ustawy hipoteczne*, która weszła do wydawnictwa *Prawa Cywilnego* przez p. Karola Hube (T. II str. 109, 110 i 124, wyd. z 1877 r.), — drugiej p. n. *Ustawy postępowania sądowego*, wydanej w 1877 r. przez *Bibliotekę Umiejętności Prawnych*, w której (T. I. str. 53) zamieściłem następujące wyrazy: „Nadto, w sądach gminnych, jako urzędujących po wsiach, gdzie ludność nie posiada w ogóle znajomości języka rosyjskiego, lubo według art. 241 Postan. z 1875 r. postępowanie sądowe odbywać się powinno w tymże języku, wszakże stosownie do ust. 1. Najw. zatw. Uchwały komitetu do spraw Królestwa Polskiego, ogłoszonej w Ukazie Rządz. Senatu z dnia 2. lipca 1876 r., w sądach gminnych, przy rozpoznawaniu spraw cywilnych i kryminalnych, wolno używać języka, jakim mówi ludność danej miejscowości, gdy strony i osoby, wpływające do sprawy, nie umieją po rosyjsku. Zatem, chociaż wszystkie akta piśmienne wychodzące od sądu powinny być redagowane w języku rosyjskim, lecz prośby powodowe, czy to ustne, czy piśmienne, jako pochodzące od strony, mogą być podawane w języku polskim.“ Proszę o wybaczenie, że cytuję sam siebie, ale w tak ważnej sprawie, jak sprawa języka ojczystego, mniemam, wolno mieć odrobinę próżności, iż pisząc przed wprowadzeniem reformy sądowej, w przewidywaniu tych trudności, które istotnie nastąpiły, wskazałem pierwszy wyraźnie na prawne środki obrony, jakie następnie zastosowane. okazały się skutecznemi.

Zechciej Pan przyjąć i t. d.

30 maja 1881. *Wł. Nowakowski.*

KAROL KLOSS.

(Wspomnienie pośmiertne.)

Jeżeli widok mogiły ludzi, którzy spełnili swój zawód, wywołuje szczery smutek, to żal przedwczesnej straty tem żywiej budzi się grobem człowieka przyszłości. Nagle zmarły w nocy z d. 28 na 29 maja młody artysta rzeźbiarz, Karol Kloss, znajdował się właśnie w tej szczęśliwej chwili, gdy zwycięzywszy zawady losu stawiał śmiało samodzielne kroki na polu sztuki, patrząc jasno w przyszłość z tą pogodą, jaką daje pewność urzeczywistnienia najgorętszych nadziei. Urodzony w naszem mieście r. 1848, w tutejszych szkołach pobierał średnie wykształcenie; studya artystyczne odbyte w Berlinie, uwieńczyła następnie podróż do Włoch, i wtedy żywy jego umysł i dzielny talent wykształcił się pod wpływem tradycyi klasycznych starej Romy, której świat zamierzchły młody artysta umiłował gorąco. Po przybyciu z Włoch rozpoczął od lat paru w naszem mieście płodną działalność, umiejąc dzięki energii i praktyczności połączyć pracę zarobkową ze służbą dla prawdziwej sztuki. Na każdym konkursie rzeźbiarskim Kloss stawał jako ochoczy zapaśnik i często wychodził zwycięzcą. Jego projekt do symbolicznej statui *Wisła* pojęty w stylu rodzajowym, miał dużo wdzięku i czysto swojskiego charakteru. Z utworów religijnych najlepszą jest premijowana płaskorzeźba, *Cudowne rozmnożenie chleba*, odznaczająca się dobrą kompozycyą i prostotą. Dwa posągi: *Chrystus zmartwychwstały* oraz *Kordecki* nie imponowały religijnem natchnieniem, ale miały zalety układu i techniki. Najwybitniej jego talent ujawnił się jednak w bardzo pięknej grupie *Strącenie Tarpei*, o której niedawno podaliśmy bliższą ocenę. To prawdziwe dzieło sztuki ukazało w Klossie twórcę niepospolitej miary, kojarzącego siłę i jędrność klasyczną z nowożytnym wdziękiem i elegancyą, a pod względem techniki zdradzało już niepospolitego artystę. Krytyka przyjęła ten utwór nader sympatycznie, nie bawiąc się w półgębkowe pochwały, witając w artyście dzielnego zapaśnika polskiej rzeźby. Upojony powodzeniem, Kloss ze zwykłą sobie energią zaczął tworzyć nowe dzieło, pomyślane oryginalnie i humorystycznie. Jest to *Wenus* nowoczesna, która wychodząc z kąpieli położyła na globusie pantofelek. W taki sposób artysta uosobił ujarzmiającą świat potęgę wdzięków niewieścich, ale śmierć przerwała rozpoczętą pracę.

Rzutki i bystry umysł Klossa niezadawalniał się powodzeniem artysty, ale sięgał także w wolnych chwilach po laury literackie. I na tem polu potrafił zmarły stworzyć dzieło, któremu się należy zaszczytna wzmianka w kronice dramatopisarstwa. Zamiłowany w rzymskiej przeszłości odtworzył jedną z jej postaci dziejowych w dramacie *Cajus Gracchus trybun* (Lwów 1876), który pomimo usterek nosi nosi na sobie piętno istotnej siły i męzkiego, spiżowym tonem brzmiącego, zapału. Przedmiotem utworu jest walka słynnego trybuna, obrońcy wolności ludu, z przemocą i zdradą patrycyatu. Mało który utwór w naszej literaturze tchnie tak szczerym i tak dzielnym zapałem demokratycznym. W osobie bohatera Kloss starał się wcielić ideał starorzymskiej cnoty, przybrał w sympatyczne gry miłość ojczyzny, opartej na poczuciu prawa. Dzieło to pomimo wadliwości w kompozycyi zdradzało talent młodzieńczy, który zwłaszcza w prologu zdobył się nawet na dramatyczną siłę. Ponieważ motyw tego ustępu przedstawiał sam przez się materyał do osobnej kompozycyi, więc artysta odjąwszy go od całości, rozwinął osobno w trzyaktowym dramacie *Sempronia*, w którym usunął na drugi plan akcyę polityczną, stwarzając całość, opartą na silnem starciu fanatyzmu patryotycznego z prawami moralnemi. Utwór ten zastosowany do warunków naszej sceny, złożony Dyrekcyi Teatrów, oddany został pod opinię Komitetu dramatycznego, który prawdopodobnie oceni jego niezaprzeczone zalety. Na niwie nowożytnej Kloss mniej szczęśliwie stąpał, jak tego dowodzi dramacik *Kuryer Warszawski*, nacechowany zbyt specyalną tendencyą w kwestyi podrzutków i przeładowany frazeologią. Niemałe zalety ma posiadać dramat *Mieszko i Oda*, znajdujący się w rękopiśmie. Widzimy z tego, że Kloss umierając w sile wieku, zaznaczył już wybitną swą dwustronną działalność, że na polu rzeźby wkroczył na szeroki gościniec, wróżący szereg powodzeń, obiecujący plon istotnego dla sztuki pożytku. Natura to była żywo zapalna, szlachetna, szczerze artystyczna, obdarzona szczęśliwą miarą, która pozwoliła wyzyskać zasoby niepospolitego talentu i pracować dla wyższych ideałów sztuki, nie zapominając o chlebie powszednim. Pomimo apatyi, jaka u nas panuje dla rzeźby, Kloss potrafił walczyć energicznie i skutecznie z niepomyślnymi warunkami, potrafił zdobyć sobie stanowisko niezależne, był bojującym szermierzem sztuki, którego śmierć nielitościwa zgładziła w chwili, gdy odniósł pierwsze zwycięztwo.

LIBERUM VETO.

Projekt nowego kodeksu karnego. — Uwaga raportu i sprawy wyznaniowe. — Historya kapitana L. — Wykonanie nieistniejącego wyroku. — Na co pompadur, kiedy prawo rządzi. — Inspektor służby zdrowia w obronie lodu z mykwy. — Proponowane tematy do ćwiczeń gimnazyalnych. — Ofiarność mających coś do sprzedania. — Wystawa geograficzna. — Czy my co dla niej mamy. — Powód przyjęcia udziału. — Czkawka.

Jakkolwiek dopiero szesnaście lat Ustawa o karach wymierzanych przez sędziów pokoju kłóci się z ciągnącym w inną stronę wózek Temidy Kodeksem, już postanowiono tę niezgodną parę wyprządz i zastąpić jedną siłą. Zarazem mają być przygotowane nowe wagi dla bogini sprawiedliwości, która dotąd zbyt obciążała swe szale dla oznaczenia kar na jedne przestępstwa, a zbyt małemi zbywała drugie. Słowem, osobna komisya zajęła się opracowaniem nowego Kodeksu Karnego. Niech pamiętnym zostanie dzień ogłoszenia tej prześlicznej nowiny, w przypuszczeniu naturalnie, że urzeczywistnienie jej będzie pożądanem. Ach, gdybym tu chciał wypisać to wszystko, co jest pożądanem; cienki pasek wykrojony z tych pragnień opasałby większą przestrzeń, niż zajmowała stara Kartagina. Wstrzymuję się jednak do chwili, w której projekt nowego kodeksu, wypracowany przez komisyę redakcyjną, podany zostanie do wiadomości powszechnej a opinia ogółu wezwana do poczynienia nad nim swych uwag. Potrącę jedynie kilka faktów świeżych.

W raporcie urzędowym co do ułożenia nowego prawa karnego, znajduje się — jak wspomnieliśmy — ta słuszna uwaga: „Kodeks obciąża zbyt surowemi karami takie czyny, które obecnie opinia powszechna uznaje za wcale niekarygodne albo bardzo drobne, których też prawodawstwa innych państw albo wcale nie karzą, albo poddają karom względnie lekkim... Kodeks (dotychczasowy) nie odpowiada współczesnemu duchowi potrzeb państwowych i nieraz sprzeciwia się obyczajowo-prawnym poglądom narodu na karygodność tych lub owych czynów.“ Poparcia temu twierdzeniu dostarczają przedewszystkiem sprawy wyznaniowe, w których prawo rosyjskie zachowuje nieznaną innym państwom surowość. Jak wiadomo, przejście z wyznania

prawosławnego na inne jest obciążane ostrą karą a nawet zdarzają się wypadki przymusowego nawracania. Jeden z takich wypadków był właśnie przedmiotem głośnej w pismach rosyjskich sprawy. Kapitan straży granicznej L., katolik, zachorował niebezpiecznie przed dwudziestu kilku laty w Nowogrodzie. Wezwany ksiądz prawosławny udzielił mu komunię. Dzięki temu zdarzeniu zapisano L. do prawosławnych a nawet w tym charakterze zaciągnięto go do listy stanu służby. Tymczasem L., uważając się za katolika, zawarł w r. 1861 związek małżeński w kościele katolickim. Po kilkunastu latach wytoczono mu proces o unieważnienie małżeństwa i uznanie czworga dzieci za nieprawe. Oskarżony wniósł prośbę objaśniającą, której nie uwzględniono. W r. 1879 umarł, a żona jego wraz z dziećmi miała być pozbawiona praw przez ten związek nabytych. Krzywda jednak zbyt głośno domagała się naprawy. Zrewidowano sprawę administracyjnie i Synod otrzymał Najwyższe zezwolenie uznania ślubu kapitana L. za ważny. Fakt taki w Rosyi nie jest zjawiskiem odosobnionem. I dlatego przymusowe prawosławie stanowić będzie niezawodnie dla komisyi kodeksowej wdzięczny przedmiot do rozwagi i dotkliwy anachronizm do usunięcia.

Obok zmiany prawa należałoby również pomyśleć o sposobie bliższego poznajomienia z niem jego wykonawców i zatamowania ich popędów ustawodawczych. Potrzebę tę wykazuje świeży, nader charakterystyczny przykład. Do pewnego sędziego pokoju — jak donoszą gazety — ktoś wniósł skargę o 142 rs. i otrzymał wyrok zaoczny pod tymczasową egzekucyą. Gdy przystąpił do wykonania wyroku, pozwany założył opozycyę, wstrzymującą prawnie wszelkie kroki egzekucyjne. Skoro wszakże wierzyciel nie ustąpił, dłużnik wniósł do tegoż sędziego prośbę o wstrzymanie sprzedaży zajętych ruchomości. Ale sędzia postanowił być wyższym nad prawo i dozwolił egzekucyę prowadzić dalej. Tym sposobem nieistniejący wyrok został wykonanym.

Nie o ten jeden wypadek nam idzie, nawet nie o tysiąc podobnych, ale o odjęcie możności urzędnikom dowolnego stanowienia praw, których logiki nikt przewidzieć nie może. Piękna ta, ale bardzo szkodliwa chęć jest bardzo rozpowszechniona w Rosyi. Genialny humorysta rosyjski, Szczedryn, z dziwną umiejętnością chwytający wady własnego narodu, tak opisuje jednego ze swych bohaterów: „W rozmowie z kancelistą (pompadur) całkiem przypadkowo dowiedział się, że istnieje prawo, które w pewnych razach dozwala, a w innych — krępuje. Do tej chwili naturalnie nie wątpił o tem, że prawo jest, ale przedstawiał je sobie pod postacią książek oprawionych, stojących w szafie kancelaryi. Gdy książki te były rozrzucone po stołach, poszarpane i zatłuszczone, nazywał to nieporządkiem; gdy stały rzędem na półce, był przekonany, że porządek panuje wzorowy. Dozwalającej lub krępującej siły prawa nie znał i przypuszczał raczej, że prawo nie jest niczem innem, tylko dytyrambem na cześć pompadurów. A ponieważ był człowiekiem skromnym i zawsze rumienił się, kiedy go chwalono w oczy, nic dziwnego, że nie lubił zaglądać do praw.“ Nakoniec, zniecierpliwiony ciągłemi uwagami kancelisty, że prawo go w wielu objawach swobody ogranicza, spytał razu pewnego: „Jeśli ono rozkazuje, to po cóż ja tu jestem?“ Trzeba więc koniecznie znaleźć sposób wytłomaczenia tym, którzy prawo w szafce trzymają, po co są oni.

Pytanie takie może sobie zadaje p. inspektor służby zdrowia w mieście naszem, który zasłużył na pochwalną odę w kilku pismach, na jego cześć wygłoszoną. A jakże wspaniały tytuł chwały! Trzy wielkie lodownie w Warszawie zaopatrzyły się w lód ze zmarzniętej wody, wypuszczanej z łaźni żydowskiej na Solcu. Prasa, wstrząsnąwszy się z obrzydzenia, krzyknęła, skutkiem czego lekarz miejscowy polecił uprzątnąć lód, z rynsztoków mykwy wycięty. „Właściciele lodowni — opowiada *Kuryer Warszawski*—niezadowoleni z takiej decyzyi, udali się do wyższej władzy i sprawili, iż pan inspektor służby lekarskiej miasta Warszawy, który tak liczne składa dowody dbałości o stan zdrowia naszego miasta (co za złośliwość!) udał się na miejsce, dla naocznego przekonania się o prawdziwym stanie rzeczy. Rzeczony pan inspektor nie podzielił zdania lekarza miejscowego i wstrzymał wydany rozkaz opróżnienia wymienionych lodowni, uznając lód za zupełnie czysty, *bardzo smaczny* i odpowiedni do ziębienia wody do picia i do innych użytków.“ Naturalnie nie pozostaje nic innego, jak tylko życzyć p. inspektorowi dobrego apetytu w użytkowaniu z tego „bardzo smacznego“ lodu. Nie pojmuję, dla czego korespondenci gazet zagranicznych kłamią w swych doniesieniach, kiedy mają tak piękne prawdy.

No, temu już żaden kodeks nie poradzi. Egzamina w gimnazyach już się rozpoczęły wypracowaniami piśmiennemi. Przeglądaliśmy tematy niektórych — pyszne, doskonałe zastosowane do umysłowego rozwinięcia gimnazistów. Chcąc usłużyć czemkolwiek systematowi nakazującemu myszom rodzić góry, proponuję szanownym pedagogom następujące zagadnienia dla wypracowań uczniowskich.

1) Gdzie stała Troja?
2) Jak wygląda biegun północny?
3) Co zawierały zaginione traktaty Epikura?
4) Jakim sposobem wrażenia się uświadamiają?
5) Jakim językiem mówił Ruryk?

Możnaby wreszcie dostarczyć więcej takich zagadek, których uczeni dotąd nie rozwiązali, ale gimnazyaści z pewnością rozwiążą, zwłaszcza gdy będą wiedzieli, że pod tym tylko warunkiem dostaną promocye.

Jeżeli który z was czytelnicy potrzebuje kupić sobie wiązkę rzodkiewki, korzec węgli lub krawat, to niechże się uda tam, gdzie ustępują procent na korzyść kasy dla rzemieślników. We wszystkich bowiem rozgałęzieniach handlu posiada ona już swych miłosiernych dostawców, zapełniających szpalty dzienników deklaracyami swej wspaniałomyślności. Szczerze mówiąc, może sam nie robiłbym inaczej, gdybym posiadał jakikolwiek kramik. Bo owe przyrzeczone procenty zbyt by mnie nie zrujnowały, a tymczasem przesławszy do *Kuryera* list z zapowiedzią ofiary, dowiódłbym szerokiemu światu, że istnieję, i uwiadomił go, co mianowicie sprzedaję.

We wrześniu odbędzie się powszechna wystawa geograficzna w Wenecyi. Komisarzem na państwo rosyjskie jest p. Grigorjew w Petersburgu. Otóż p. Z. L. wykazuje w *Nowinach*, że jeden człowiek na obszerne państwo — to za mało i upomina się o wyznaczenie drugiego na Królestwo Polskie. W zasadzie żądanie słuszne, ale czy p. Z. L. jest pewnym, że my coś na tę wystawę poślemy? Sprawiłoby mi to najwyższą przyjemność, gdybym się omylił; sądzę jednak, że gdy p. Sulimierski pośle swego *Wędrowca* i *Słownik geograficzny*, no, może p. Gloger kilka wykopalisk, to i koniec. Przyjemnie byłoby nam popisać się przed światem własnemi pracami geograficznemi, ale skąd ich wziąć? Galicya... może; zresztą trudno wiedzieć, co się w każdej pracowni dzieje.

Niezależnie od tego jest jeden względ, przemawiający za licznym udziałem w wystawie geograficznej. Mianowicie z Wenecyi niedaleko do Rzymu, a tam, jak wiadomo, wybiera się z Galicyi pielgrzymka, którą, między innymi, urządzają także profesorowie uniwersytetu krakowskiego. Możnaby więc pojechać do papieża, po drodze wstąpić na wystawę geograficzną i... figurować na niej jako okazy cywilizacyi kopalnej.

Możesz się, czytelniku bezpiecznie roześmiać z tej rady, bo jedno z pism naszych podaje aż siedem sposobów uśmierzenia czkawki. Nie czytaj wszakże przypadkiem jego sądów o Molierze i o „przeszłości rzymskiej,“ bo dostaniesz takiej czkawki, że nie uspokoisz jej ani pieprzem, ani anyżkiem, ani nawet sposobem, przez fizyologię wskazanym — ziewaniem.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Peryodyczne, stałe zjawiska w kraju naszym, pojawiające się z nastaniem suchej pory corocznie — pożary miasteczek i wsi, otworzyły swój sezon w tym roku bardzo wcześnie. Zaledwie maj ogrzał cokolwiek przez długą zimę wychłodzoną ziemię i osuszył słomiane strzechy, a już zdążyły się spalić: Łuków, Augustów, Pławno, nie licząc innych pomniejszych wypadków.

Zamiast przelewać z pustego w próżne, stawimy pytanie, które może pośrednio przyczyni się przynajmniej do wyświetlenia powodów tej próżni: W jakiej części świata leżeć może w XIX wieku kraj, który dobrowolnie puszcza corocznie kilka milionów z dymem, będąc aż nadto ubogim; czy kraj ten ma jakąś organizacyę społeczną, jaki istnieje tam system administracyjny?... „Zastanówmy się!“ — jak mówi oficyalny idyota w którejś farsie scenicznej. Po tem zastanowieniu przyjdziemy do przekonania, że... w przyszłym roku będziemy się znowu palili.

* *

„Na pociechę, — powiada list z Mławy w *Korespondencie Płockim* — że to, co dla jednych jest ostateczną klęską, drudzy mogą uważać za szczęśliwy dla siebie wypadek, przytoczyć może następujące zdarzenie: Pan P... właściciel owczarni w S., zaasekurował zawartość jej w Towarzystwie Warszawskiem za pośrednictwem mieszkającego tu agenta p. D.; że jednak nie miał wymaganej z góry całorocznej należności, uprosił agenta, żeby założył za niego drugą połowę, a on mu ją za pół roku z podziękowaniem zwróci. Gdy się jednak w tym przeciągu czasu inwentarz nie spalił, a p. P. mimo wielokrotnych próśb i nalegań uiszczenia się z długu, stanowczo odmówił, zbyt łatwowierny agent poznał choć zapóźno, że nie wszystko złoto co świeci, a także przypomniał sobie i o drugiem przysłowiu: „mądry polak po szkodzie.“

Cóż było robić? Pan D. ani pisnął wrócił do siebie i czapkę nacisnął.

Nazajutrz z rana... gdy już pożegnał się z nadzieją odzyskania na tym świecie swego, z takim trudem zebranego, kapitaliku, wchodzi p. P. i płaci najprzykładniej zaległą od kwartału ratę. Czy spowiedź Wielkanocna lub nieco spóźniony żal za grzechy był tego powodem? Bynajmniej! Panu P. spaliły się wszystkie owce, a że nie chciał być stratnym, wolał więc postąpić sobie uczciwie i nie nadużywać zaufania pana D., prawdopodobnie z zasady, że „do trzeciego razu sztuka.“

Redakcya pisma płockiego dodaje do listu taki przypisek: „Znamy i my w płockiem podobnych temu p. ubezpieczonych, którzy w ten sam sposób korzystali z zaufania agenta, ale że się na nieszczęście dla niego, nie spalili, nadużywając więc łatwowierności skrzywdzili go na znaczną sumę pieniędzy.“

Byłoby to rozszerzenie tradycyjnego oszustwa na koniach?

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 1 czerwca.

Cała Francya, cała Europa nawet mówi i pisze w tej chwili, jeśli nie wyłącznie, to przedewszystkiem o Gambecie. Zaraz po odniesionem w Izbie poselskiej zwycięstwie w sprawie reformy wyborczej, wyjechał marszałek-trybun do Cahors, rodzinnego swego miasta w departamencie Lot, gdzie odbyło się odsłonięcie pomnika dla ochotników, poległych w szeregach armii w r. 1871. Otoczony licznem gronem najbliższych przyjaciół osobistych i politycznych, odbył Gambetta prawdziwy pochód. Na całej przestrzeni między Paryżem a Cahors, gdzie tylko zatrzymywał się pociąg, niebyło końca owacyom, które u celu podróży rozwinęły się już w entuzyastyczną demonstracyę niezwykłych rozmiarów. Prezes Izby przyjmował przedstawicieli władz cywilnych wojskowych, deputacye od stowarzyszeń, udzielał posłuchania osobom prywatnym; niema też przesady w uwadze dzienników, że od czasów pierwszego konsula, a później od czasów „księcia prezydenta zanim został cesarzem, niebyło osobistości, którąby taki urok budziła w masach narodu jak obecnie Gambetta.“ Nie brak też głosów, mianowicie w prasie wrogo usposobionej dla ulubieńca ludu, obwieszczających upadek trzeciej rzeczypospolitej pod dyktaturą Gambetty, po którym przyjdzie — Bonaparte. Że te proroctwa puszczyków reakcyjnych są fałszywym płodem tendencyi, najlepszą rękojmią jest sama Francya, w której duch republikański, bądź co bądź, zbyt już zapuścił korzenie, aby je zatruć potrafił upadły urok bonapartystowskiej legendy. Mniejsza jednak o spory przełożone na rachunek przyszłości. Trzymając się tego co jest dziś, stwierdzić trzeba, że tryumfy Gambetty jako wybitniejszego przedstawiciela republikańskiej idei, są niezatartem świadectwem stanowczego przełomu opinii publicznej w tym kierunku. A teraz wróćmy do Cahors. Gambetta wypowiedział tu dwie mowy polityczne: jednę zwróconą do zagranicy, drugą poświęconą sytuacyi wewnętrznej. Wielkie umiarkowanie przebija z tych odezw programowych. „Francya nie chce polityki zaczepnej, awanturniczej, zaborczej — powiada mówca w pierwszej mowie — ...Mamy dziś dwojaką rękojmię, że ucisk Francyi nie będzie już w ręku jakiegoś awanturnika narzędziem ucisku wewnętrznego lub *niesłusznego* ataku na zewnątrz. Pierwszą taką rękojmią jest powszechna służba wojskowa, która sprawia, że armią jest Francya sama; drugą rękojmię stanowi fakt, że nikt nie będzie decydował o pokoju lub wojnie tylko sam naród... Jeżeli Francya uległa wielkiemu nieszczęściu to dlatego, że w nieszczęsnej godzinie oddała się cała w ręce jednego człowieka... Nie wierzcie tym, co mówią, że nasza wielka armia, której naród tyle troskliwości poświęca jest groźbą dla pokoju. Jej narodowa organizacya zapewnia właśnie długotrwały pokój. Francya pragnie wyrastać w spokoju, którego szczególniej potrzebuje, a ma silę obronną, gdyby zaczepioną być miała. Ta okoliczność zabezpiecza pokój. Zaczepiane bywają tylko słabe narody; silne — są szanowane... Dopóki zresztą sami jesteście panami swoich losów, nic się nie stanie bez woli narodu... Czego zaś chce Francya, chcą republikanie: porządku, spokoju przy wolności i trwałego postępu, zapewnienia ciągłego wzrostu geniuszowi Francyi“. Taki jest bieg myśli tej mowy. Oklaskom słuchaczy zawtórowała i opinia polityczna za granicą. *Nordd. Allg. Zeitg.* nazywa Gambettę najmędrszym mężem stanu Francyi, który najlepiej umie odczuć usposobienia narodu i oblec je w odpowiednie wyrazy. W drugiej mowie Gambetta głównie poruszył stosunek swój do prezydenta rzeczypospolitej i kwestyę reformy konstytucyi. Co do pierwszego, protestował mówca energicznie przeciw insynuacyom, usiłującym wywołać antagonizm między nim a Grevym, którego bardzo wynosił, chwaląc jego świetne przymioty osobiste, czystą przeszłość i charakter. Pod względem zmian w obecnej konstytucyi, Gambetta powiada, że są one potrzebne, że konstytucya dzisiejsza nie może być uznana za ostateczną, ale czas dzisiaj nie potemu. Trzeba to zostawić przyszłości. Senat uznaje Gambetta za instytucyę użyteczną, zwłaszcza, gdy coraz więcej, przy każdem uzupełnieniu, wchodzi doń członków republikańskich.

Tymczasem jednak Izba wyższa przygotowała się z poważną opozycyą w sprawie reformy wyborczej, czyli t. zw. głosowania według list. Szanse wniosku w senacie są wątpliwe. Komisyę wybrano z większości nieprzyjaznej reformie, zatem propozycya odrzucenia ze strony komisyi jest pewną. Jak zawotuje Izba — do tej chwili niewiadomo. W sekcyach, z okoliczności wyboru komisyi, głosowało 77 senatorów przeciw reformie, 18 za nią a 86 wstrzymało się od głosowania.

W parlamencie angielskim podnoszono w ostatnim czasie zamieszki anti-żydowskie w Rosyi i żądano interwencyi dyplomatycznej ze strony rządu angielskiego. Minister spraw zagranicznych, Granville, odmówił interwencyi oficyalnej.

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Ministeryum sprawiedliwości wydało rozporządzenie, ażeby Sądy w Królestwie Polskiem oprócz świąt prawosławnych obchodziły także święta kościoła rzymsko-katolickiego według nowego stylu.

— W Piotrkowie otwarto w d. 26 z. m. wystawę obrazów i starożytności.

Stowarzyszenia. Na ostatniem posiedzeniu biologicznem Warszawstkiego Towarzystwa Lekarskiego, odbytem w d. 31. z. m. mówili pp. Weinberg: *O badaniu hydrograficznem okolic Warszawy*, Dziewulski: *O zagęszczeniu optycznem mięszaniu wody z alkoholem,* Znatowicz: *O gazie oświetlającym Warszawę* i wreszcie p. Stanisław Markiewicz wypowiedział rzez p. t. *Demonstracya ławki i stołu do pisania i rysowania dla dzieci do użytku w domu.*

Uniwersytet. W uniwersytecie warszawskim w d. 29 z. m. bronili publicznie rozpraw swych na stopień doktora medycyny pp. A. Elzenberg p. t. *Anatomiczne zmiany gruczołów ślinowych przy wściekliźnie* (*Rabeies canina*) *u psów i człowieka* i T. Dunina p. t. *Patologiczne badania nad zapaleniem nerek;* zaś p. Z. Kłosowski również publicznie bronił rozprawy swej na stopień magistra farmacyi p. t. *Charakter działania środków antyseptycznych na fermenty.*

Wystawa geograficzna we Wenecyi odbędzie się we wrześniu r. b., jednocześnie z wielkim międzynarodowym kongresem geograficznym w tem mieście. W gronie protektorów wystawy figurują obok króla, imiona pierwszorzędnych włoskich dygnitarzy: senatora księcia Diovanelli di Venezia, hrabiego Dante Serego Allighieri, kawalerów Negri, Correnti i wielu innych.

Stosownie do ułożonego programu, obejmie ona następujące działy:

I. Geografia matematyczna, geodezya, topografia.
II. Hydrografia, geografia morska.
III. Geografia fizyczna, meteorologia, geologia, botanika, zoologia.
IV. Antropologia, etnografia, geografia języków.
V. Geografia historyczna i historya geografii.
VI. Geografia ekonomiczna i handlowa; statystyka.
VII. Metodologia, wykład i rozpowszechnienie geografii.
VIII. Poszukiwania geograficzne i podróże.

Termin przesyłania przedmiotów na wystawę: od 13 czerwca do 30 sierpnia r. b.

Zarząd wystawy (Giunta del Congresso geografico internazionale) mieści się w Wenecyi w „Palazzo Municipale,“ filia jego w Rzymie na „Via del Collegio Romano 26.“

Osoby pragnące przyjąć udział w kongresie, płacą 15 lirów; te zaś, które wniosą 40 lirów, otrzymają tytuł członków-protektorów.

Nagrody, według werdyktu międzynarodowego, będą trojakie, a mianowicie: medale drugiej klasy i listy pochwalne. Jury podzielone będzie na 8 specyalnych wydziałów.

Przedstawicielami kongresu i wystawy w obcych państwach będą, jak zwykle, komisarze. Na całe państwo rosyjskie wybrany został jeden tylko komisarz, p. Grygoriew, członek Cesarskiego Towarzystwa Geograficznego w Petersburgu.

Teatr. Towarzystwo dramatyczne p. Puchniewskiego wystawiło na scenie teatrzyku Alhambra niegraną dotąd jeszcze u nas czteroaktową komedyę L' Aronge'e p. t. *Dobroczynne damy.*

— Sztuka Ryszarda Vossa p. t. *Die Patricierin* nagrodzoną została na konkursie dramatycznym w Frankfurcie nad Menem.

— W teatrze berlińskim wystawiono tragedyę historyczną G. Conrada p. t. *Catharina von Medicis.*

— Krakowie wystawiono nową czteroaktową komedyę Blizińskiego p. t. *Rozbitki.*

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. I. K. Prosimy Pana jeszcze raz o uważne odczytanie odnośnych ogłoszeń. Nie ma żadnej sprzeczności.

P. Helenie M. w Krzemieńcu. Postaramy się temu zapobiedz.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Мая 1881г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.